

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. TEL. 479

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 1 września 1906 r. Nr. 35.

Warszawa w stanie wojennym.

(Treść na stronie 3)



Zasłużyli się krajowi.

W ubiegłym tygodniu doniosły dzienniki, iż w uznaniu zasług przy przeprowadzeniu i sfinalizowaniu rokowań handlowych z Niemcami, Włochami, Rosyą, Belgią i Szwajcaryą, nadał cesarz dr. Władysławowi Dulębie, adwokatowi i posłowi do Rady państwa, krzyż komandorski orderu Fr. Józefa; dr. Henrykowi Kolischerowi, właścicielowi fabryki papieru w Czerlanach i posłowi do Rady państwa i na sejm, krzyż komandorski orderu Fr. Józefa; dr. Władysławowi Stesłowiczowi, sekretarzowi lwowskiej Izby handlowej i przemysłowej krzyż kawalerski orderu Fr. Józefa i drowi Arturowi Benisowi, sekretarzowi krakowskiej Izby handlowej i przemysłowej krzyż kawalerski orderu Fr. Józefa. Z tej okazyi podajemy dziś portrety czterech zasłużonych krajowi działaczów.



Zasłużyli się krajowi: Znany adwokat lwowski i poseł do Rady państwa, dr. Władysław Dulęba, odznaczony za udział w pracach około traktatów handlowych krzyżem komandorskim orderu Franciszka Józefa.

Powyższe odznaczenia wywołały zadowolenie w całym kraju z tego przedewszystkiem powodu, iż z siedmiu odznaczeń, z tego tytułu wogóle nadanych przez cesarza, cztery przypadły naszym rodakom.

Naszych też reprezentantów jest zasługą, iż ostatnie traktaty w wielu szczegółach są dla Galicyi korzystniejsze od dawniejszych; dla zdobycia tych korzyści, trzeba było dużo wysiłków, sporo pracy i starań.

Poseł dr. Władysław Dulęba, wiceprezes Koła polskiego, od samego początku, skoro tylko kwestya traktatów stała się aktualną, zajmował się nią gorąco i był w komisyi cłowej a następnie w Izbie referentem dwóch ważnych działów, bo przemysłu chemicznego i skórnego. Poseł dr. Henryk Kolischer, który jest najlepszym znawcą teoretycznym i praktycznym stosunków przemysłowych w Galicyi, oddał w pracach około zawarcia traktatów handlowych krajowi swemu ogromne usługi. Specyalnie zaś to, co w traktacie z Niemcami uzyskano dla drzewa i nafty galicyjskiej, jest jego zasługą. O ile chodziło o związek taryf kolejowych z traktatami handlowymi, dr. Kolischer uznany był za pierwszą powagę i jego zdanie było decydującem. Wielkie też są zasługi około uzyskania korzystniejszych dla Galicyi traktatów, obu sekretarzy Izb handlowych lwowskiej i krakowskiej: dr. Władysława Stesłowicza, i dr. Artura Benisa. Obaj zapisali się już dotąd jak najlepiej dla kraju. Dr. Benis studyami nad wychodźctwem galicyjskiem i w tej sprawie jest on powagą; dr. Stesłowicz zreorganizowaniem lwowskiej Izby handlowej swemi pracami w dziedzinie przemysłu. W akcyi traktatowej przypadła im duża rola. Mianowicie wszystkie austryackie Izby handlowe związały się w „Centralstelle der vereinigten oesterr. Handels- und Gewerbekammen“ celem przygotowania dla rządu i Rady państwa potrzebnych materyałów i rozdzieliły między siebie referaty. W ten sposób dr. Stesłowicz otrzymał może najważniejszy dla Galicyi referat, bo o zbożu i mące, dalej o nafcie i wosku ziemnym, dr. Benis zaś również dla Galicyi nadzwyczaj ważny referat, bo o drzewie i o wyrobach drzewnych i o niektórych produktach zwierzęcych i niektórych metalowych. Na podstawie materyałów przez nich zebranych można było następnie uzyskać pewne dla Galicyi korzyści.



Zasłużyli się krajowi: Sekretarz lwowskiej Izby handlowo-przemysłowej, dr. Władysław Stesłowicz, odznaczony za udział w pracach około traktatów handlowych krzyżem kawalerskim orderu Franciszka Józefa.

Patryotyczna młodzież.

W kołach patryotycznej młodzieży rękodzielniczej we Lwowie, rywalizują obecnie dwa stowarzyszenia: młodsze, im. Kościuszki, ze starszem — im. Kilińskiego.

Zamieszczamy tu dzisiaj ryciny, przedstawiające grupy członków wydziałów obu Towarzystw, których działalność w sferach młodzieży rękodzielniczej polskiej jest wielce pożyteczna.

Jako starsze znacznie, położyło Tow. im. Kilińskiego niemałe już zasługi. Założone przed 12 laty, pracuje gorliwie na niwie patryotycznej, ono to po większej części urządza zazwyczaj wszystkie obchody narodowe w rocznice dziejowe.

Niedawno walne zgromadzenie wybrało prezesem p. Jana Sozańskiego, a wiceprezesem p. Andrzeja Rzepeckiego. Oni obaj właśnie przyczynili się najbardziej do rozwoju Towarzystwa w chwilach krytycznych, kiedy członkowie założyciele zwątpili o jego istnieniu, zwłaszcza skutkiem braku funduszów. Dzięki ich zapobiegliwości, Tow. im. Kilińskiego rozwija się dziś nadal znowu pomyślnie i krząta się około zebrania funduszów na rozpoczęcie budowy własnego domu.

Obu stowarzyszeniom życzymy powodzenia.



Fot. dla „Now. Illustrowanych“ Marek Münz we Lwowie.

Patryotyczna młodzież: Wydział Towarzystwa polskiej młodzieży rękodzielniczej im. Jana Kilińskiego we Lwowie.

Warszawa w stanie wojennym.

(Do illustracyi tytułowej)

Skoro tylko spotka się w tych dniach w Krakowie znajomych Królewiaków, jadących z wód



Zasłużyli się krajowi: Poseł do Rady państwa i na Sejm, znany fabrykant dr. Henryk Kolischer z Czerlan. odznaczony za udział w pracach około traktatów handlowych krzyżem komandorskim Franciszka Józefa.

swojskich lub zagranicznych zdrojowisk do domu, zatrzymuje się ich pytaniem pełnem zdumienia:

— Jakto, wracacie państwo do Warszawy... Nie boicie się?

I trudno dziwić się nam tutaj, w cichym Krakowie, że my naogół nie pojmujemy, jak można, czytając dzień po dniu, przez całe miesiące bez przerwy, opisy tego wszystkiego, co się tam dzieje w Warszawie, w Królestwie — jak można doprawdy chcieć tam jechać teraz. Wszak nam trudno zrozumieć, że tam dziś mogą ludzie żyć jeszcze, że dawno nie pouciekali wszyscy w popłochu...

A jednak krocie tysięcy mieszkańców Warszawy ani myślą ruszać się z miejsca mimo wszystko, a ci, którzy wyjechali naprzykład na lato, lub przynajmniej część ich znaczna, wraca obecnie na swe posterunki...

I nie można powiedzieć, żeby niemiejscowi wyobrażali sobie w gorszych, czarniejszych barwach stosunki dzisiejsze na warszawskim bruku — aniżeli jest w istocie. Bynajmniej przesady niema w sprawozdaniach dzienników; o iluż bowiem wypadkach milczy nawet kronika drukowana...

Ale Warszawa jest ogromna, Warszawa jest niesłychanie żywotna, że w niej wszystko się gubi, a ubytku nie łatwo da się zauważyć; Warszawa zahartowana, nauczyła się przeżywać chwile ciężkie i potrafi przetrwać najgorsze... Tam mimo rozpaczliwych stosunków, na duchu nikt nie upada. To wszystko przejdzie — zdaje się mówić dusza miasta.

A tymczasem po Europie opowiadają sobie o Warszawie dziwy pełne zgrozy, jakich nie opowiadano nigdy nawet o typowych dzikich krajach...

A tymczasem w Warszawie na ulicy czy w domu nikt życia ni mienia nie pewny, jak na polach wojennych. Zamach za zamachem, napad po napadzie... I za każdym razem ofiarami zamieszek ulicznych padają zupełnie przypadkowo najniewinniejsi przechodnie...

Niema dnia bez rannych i trupów, bez pobitych lub ograbionych... Istny chaos, w którym zoryentować się nie sposób, a wytrzymać trudno.

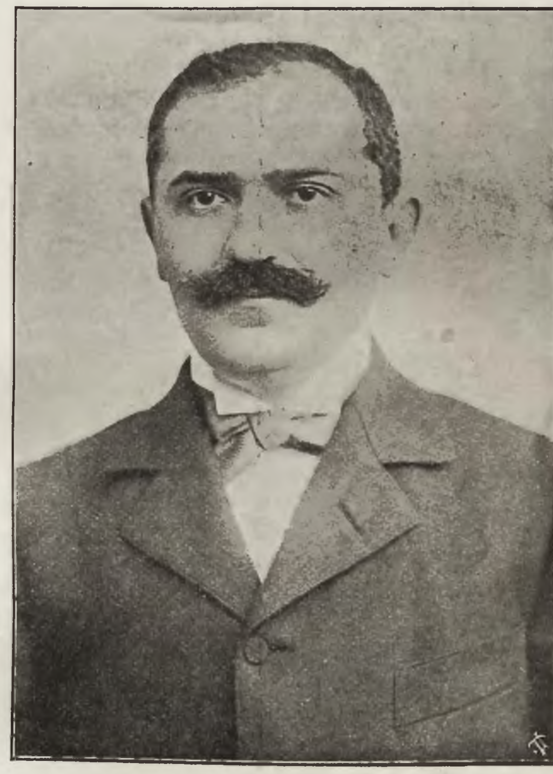
Typowy zaiste obraz tego, co dziś najczęściej można zobaczyć na głównych nawet ulicach Warszawy, przedstawia rycina tytułowa niniejszego numeru. W biały dzień na Marszałkowskiej dokonano jednego z tych niesłychanie śmiałych zamachów, którym niema końca: powstało zamieszanie, salwa zagrzechotała między murami, obłok przesłonił widok, gonitwa, ucieczka, popłoch... Poczem tu i ówdzie odprowadzają kogoś pod strażą do cyrkułu, patrole oczyszczają ulice, karetki Pogotowia ratunkowego rannych do szpitali odwożą. A tylko na bruku czerni się czas jakiś do zejścia komisyi trup zeszpecony strasznie...

Uroczystość kolejowa w Przemyślu.

(Do illustracyi na str. 16).

W tych dniach kolejarze przemyscy zebrali się na niezwykłą uroczystość. Radca cesarski Ludwik Bartelmus obchodził dziesięciolecie naczelnictwa swego w warsztatach kolejowych w Przemyślu, jednocześnie zaś żegnano jego zastępcę, starszego inżyniera Henryka Suchanka, który Przemyśl opuszcza, mianowany naczelnikiem warsztatów w Nowym Sączu. Wilią imienin naczelnika Bartelmusa, 24 sierpnia o szóstej wieczorem zgromadzili się przed warsztatami członkowie świeżo zorganizowanej straży pożarnej ochotniczej wraz z członkami towarzystwa muzyki kolejowej, celem złożenia życzeń z podwójnej okazyi swojemu ukochanemu naczelnikowi, a zarazem dla pożegnania jego zastępcy.

Zarówno orkiestra kolejowa, jak straż ogniowa zostały założone właśnie z inicyatywy radcy Bartelmusa. Muzyka warsztatowa powstała jeszcze przed czterema laty i składa się przeważnie z rzemieślników tychże warsztatów w liczbie trzydziestu osób. Ochotniczą straż pożarną zorganizowano obecnie w liczbie pięćdziesięciu ludzi po niedawnym pożarze gmachu Eisnerowskiego, skutkiem którego przez jedną noc cały dworzec kolejowy w Przemyślu znajdował się w wielkiem niebezpieczeństwie. Straż ta, tak wielce pożyteczna i pożądana, składa się również z funkcyonaryuszów warsztatowych.



Zasłużyli się krajowi: Sekretarz krakowskiej Izby handlowo-przemysłowej dr. Artur Benis, odznaczony za udział w traktatach handlowych krzyżem kawalerskim orderu Franciszka Józefa.

Z tej familijnej uroczystości kolejarzy przemyskich podajemy dwie fotografie, na których pośrodku orkiestry i straży widać obu naczelników: Bartelmusa i Suchanka.



Fot. dla „Now. Illustrowanych“ Marek Münz, Lwów.

Patryotyczna młodzież: Wydział Towarzystwa polskiej młodzieży rękodzielniczej im. Tadeusza Kościuszki we Lwowie.

OFIARY WAMPIRÓW

Romans z życia przez Gr-ego

Ciąg dalszy.

— To on porwał Laurę wraz z pokojówką... uniósł je na samochodzie, a chcąc się pozbyć Broni, strącił ją zapewne w biegu na kupę kamieni, gdzie dziewczyna zabiła się na miejscu... Tak... tak, to nie mogło być inaczej.. Ten łotr jest zdolny do wszystkiego... To nie mogło być inaczej... Nadarzyła mu się sposobność i postanowił wymusić tą drogą ode mnie grubszą sumę pieniężną...

Książę biegał po pokoju wzburzony, co chwila zaglądając do telegramu, to pierwszego, to drugiego.

Teraz dopiero zaczął przyznawać, iż mylił się w niesłusznych podejrzeniach co do Cypryana Krzesiaka, któremu przeciwnie, zawdzięczał właśnie pierwszą wskazówkę, gdzie ma poszukiwać porwanej córki.

Zdecydował się pojechać bezzwłocznie do Krakowa.

Pod żadnym warunkiem nie chciał używać policyi w Warszawie w poszukiwaniu Laury.

Nie zawiadamiał tedy żadnych władz o treści depesz, jakie odebrał, tylko najbliższym pociągiem — po załatwieniu formalności paszportowych — wyjechał z Warszawy.

Przybywszy do Krakowa, kazał Czerski wieźć się dorożkarzowi z dworca na ulicę Aryańską, według adresu, jaki mu Cypryan podał w telegramie.

Stanęła dorożka. Książę wysiadł i zadzwonił raz, drugi raz, trzeci... Nakoniec baba jakaś z rozmierzwioną głową, z rękami jeszcze mokremi od prania, zjawiła się w sieni i ujrzawszy w bramie eleganckiego starszego mężczyznę, przyśpieszyła kroku, pytając:

— Czego tam pan dobrodziej sobie życzy?

— Mieszka tu pan Krzesiak?

— Jak się ma nazywać?

— Krzesiak, Cypryan Krzesiak...

— Taki pewnikiem żaden tu nie mieszkał i nie mieszka...

— To nie może być, musi tutaj mieszkać... Młody mężczyzna, artysta-malarz... Obrazy maluje...

— Aa... to czemuż pan zaraz nie powiedział... Malarze tu mieszkają, a jakże... mieszkają...

Dostrzegł książę w kącie sieni tabliczkę z listą lokatorów. Podszedł tam natychmiast. Poza blachą pogiętą zobaczył zaledwie dwa bilety pożółkłe. Na żadnym z nich nie odczytał nazwiska Krzesiaka.

— A zatem gdzież ten malarz mieszka — zwrócił się znowu do stróżki domu — pokażecie mi, kobieto...

— To niby nie jest jeden, ino ich trzech mieszka, nie razem wszyscy, tylko tak, jeden starszy ma gdzieindziej swój warstat, o — tam od podwórza to okno... idzie się temi schodami, to on sam siedzi, będzie teraz w domu... Ja mu tam czasem usługuję, stary kawaler jest... bieda u niego...

— Ależ to nie będzie ten wcale, którego mi potrzeba...

— To też powiadam, jeszcze inni mieszkają, ale tamtych, to mało znam, tyle tylko, co im czasem bramę w nocy otwieram... a usługiwać im nie chodzę, bo tam mają na miejscu usługę..

— A więc odnajmują od kogoś mieszkanie, czy tak...

— Tak, tak, proszę pana dobrodzieja... odnajmują to od jednych lokatorów starych, zapomniałam, jak to się ci państwo nazywają, psiakość... przepraszam... nie pamiętam nazwiska... To pewnie pan szuka tego malarza, tam ich dwóch mieszka..

— Niechże się wreszcie dowiem, którędy iść do nich, to sam się przekonam, czy tam mieszka pan Krzesiak..

— Ale pewnie, że ten... zresztą jest tam drugi, to powie... przecież koledzy, jeden wie o drugim... oh... tędy, tędy... na górę prosto, trafi pan dobrodziej... całuję rączki, Bóg zapłać, stokrotnie dziękuję jaśnie panu...

Książę rozejrzał się na górze po kurytarzu. Na jednych drzwiach odczytał bilet Cypryana Krzesiaka nad drugim biletem z nazwiskiem Mieczysława Szeleskiego, również artysty malarza.

Długo daremnie naciskał dzwonek u drzwi. Nikt nie otwierał ani się nie odzywał z wewnątrz. Wreszcie z przeciwnych drzwi wybiegła służąca i zaczęła przypatrywać się obcemu.

— Nie ma panów — odezwała się wreszcie.

— A czy to panienka może usługuje tym panom?

— Dlaczego pan się pyta... tak, to ja usługuję...

— Bo mi panienka może powie, kiedy panowie powrócą, kiedy z domu wyszli...

— Pana Krzesiaka niema już od dwóch dni w domu, nawet koledzy nie wiedzą, gdzie wyjechał, czy co takiego, nic nie dał znać, wyszedł z domu i nie wrócił już drugi dzień...

— I ten drugi pan, co tu mieszka, nic nie wie o tem, gdzie pan Krzesiak się podział...

— Wczoraj nic jeszcze nie wiedział i niepokoił się, a dziś, to nie wiem, bo nie widziałam się z nim rano, jak z domu wychodził... Ale on lada chwilę nadejdzie, bo o tej porze zawsze jest w domu...

— Możebym ja na niego tu poczekał, moja panienko, bo mam ważny interes i umyślnie przyjechałem przed chwilą do Krakowa.

— To ja panu dobrodziejowi drzwi otworzę do pracowni... pan poczeka — rzekła uprzejma dziewczyna i pobiegła do kuchni po klucz.

Za chwilę wpuściła go służąca do mieszkania dwóch młodych malarzy.

Książę znalazł się w bardzo gustownie urządzonej pracowni. Ogromny pokój o dwóch szerokich oknach weneckich tworzył najwyraźniej dwie odrębne części, zależnie od indywidualności artystów, którzy je zajmowali.

Tu walało się mnóstwo drobnych obrazków pod ścianami, a na stalugach stał prawie wykończony pejzaż górski. W rogu obrazu zauważył książę litery M. S. Podobnie podpisane były wszystkie drobne krajobrazy.

Dorozumiał się Czerski, że ta część pracowni należy do owego Szeleskiego, którego bilet przeczytał na drzwiach mieszkania.

— Zdaje się, że to dzielny pejzażysta — pomyślał sobie książę, przechodząc na drugą stronę pokoju, gdzie na ścianach wisiały przeważnie pastelowe portrety.

Były to po większej części główki dziecięce lub kobiece popiersia; gdzieniegdzie tylko widniał większy obraz olejny, będący świetnie wykonanym aktem męskim. To były prace Krzesiaka.

W szeregu tych obrazów dostrzegł książę pewną łączność. Były to studya do jednej i tej samej kompozycyi.

Nareszcie zatrzymał się przed stalugami i przypatrzył się obrazowi, około którego musiał Cypryan pracować dużo w ostatnich czasach. Do wykończenia zupełnego brak było może jeszcze paru posiedzeń.

Mimo to obraz sprawiał wrażenie skończonego.

Naprzód uderzyła go postać fantastyczna starszego człowieka w jakimś stroju bajecznym, olśniewająco bogatym — z ogromnym mieczem w dłoni. Twarz tego mężczyzny była przedziwnie podobną do księcia Czerskiego.

— Ależ to jest wierny mój portret — szepnął do siebie — co to ma znaczyć...

I zaczął przypatrywać się bliżej obrazowi, chcąc jego treść odgadnąć.

— A to ona... tak, nie mylę się, to ma być Laura...

Zaintrygowany bez miary, zaczął rozmyślać nad tem, co to ma znaczyć. Aż wreszcie zrozumiał.

Artysta malarz przedstawił wymarzony raj na ziemi. Ewą w tym raju była Laura. Jej bowiem twarz miała obnażona, cudnych kształtów postać dziewczęcia, z szarfą tęczową, opadającą z ramion przez biodra do kolan, ze sznurem pereł kosztownych na szyi i z łańcuszkiem grubych brylantów, wiszącym jak bransoleta na jednej ręce.

Dziewczę z wyrazem bolesnego wyrzutu spogląda w milczeniu oczyma, łzami błyszczącemi, na groźnego archanioła bez skrzydeł, o surowej twarzy Czerskiego, który mieczem z mitrą książęcą wygania z raju Adama.

To piękny młodzian z bujnym włosem, otoczonym wieńcem laurowym; część nagiego ciała kryje mu łachman nędzarski, trzymany w jednej ręce; drugą ręką opiera się o kij, zakończony — niby rączką u laski — paletką z farbami i pędzlami malarskimi.

W rysach twarzy młodzieńca bez trudu odnalazł książę wyraźne podobieństwo do Cypryana Krzesiaka.

Zagryzł Czerski wargi ze złości.

Ale zanadto był estetą, żeby przez mgłę złości spoglądać na prawdziwe dzieło sztuki.

Nie mógł nie przyznać obrazowi wszystkich zalet, jakie ten posiadał.

Kompozycya była zajmująca i poetyczna, wykonanie świetne.

Podobieństwo trojga osób sportretowanych uderzające na pierwszy rzut oka

— Więc on ją kocha po dziś dzień... Z nią raj mu się marzył na ziemi.. I z tego raju ja go wygnałem... Ten bogacz bajeczny z mitrą książęcą wyrytą na mieczu, to ja... Krzywdę musiałem mu wielką wyrządzić... A jeżeli i Laura raj taki wymarzyła sobie w pożyciu z tym artystą... Jeżeli ona pokochała go goręcej i dotychczas nie zapomniała o nim tak,-jak on o niej...

Mimo wściekłości, jaka ogarnęła Czerskiego na widok tego obrazu, zwłaszcza, gdy treść jego zrozumiał, nie mógł oczu oderwać od tego płótna.

Być może, iż wzrok księcia przykuwał teraz wierny portret córki jego. Tak dawno nie widział jej, a tu mógł patrzeć jakby na żywą — do tego stopnia była podobną na obrazie.

Przysunął krzesło do stalug i usiadł naprzeciw płótna.

Minął kwadrans. Książę siedział w pracowni sam na sam ze swemi myślami, wpatrzony w milczeniu w portret Laury.

Wtem za drzwiami usłyszał czyjeś głosy. To służąca rozmawiała z panem Szeleskim, któremu usprawiedliwiała się, że wpuściła gościa do środka pod nieobecność malarza.

Zaraz drzwi się otwarły i kolega Krzesiaka wszedł do swojej pracowni.

Czerski wstał i przedstawiwszy się Szeleskiemu, poprosił go o udzielenie informacyi, gdzieby mógł odszukać co prędzej Cypryana.

— Wracam właśnie od niego — rzekł mu na to młody malarz — sam o nim żadnych wiadomości nie miałem, odkąd mi zniknął przed dwoma dniami... Aż naraz dowiaduję się dziś rano, iż Cypryanowi przydarzyło się nieszczęście... napadnięto go w nocy na ulicy i poraniono, na szczęście, nie zbyt niebezpiecznie, jakkolwiek boleśnie... Znaleziony przed gmachem głównej poczty, nieprzytomny, został odwieziony do szpitala..

— Więc pan go widział w szpitalu?...

— Tak, właśnie tam byłem u niego przed chwilą... Opowiadał mi, że wysłał do księcia dwa telegramy...

— To też dlatego przyjechałem dziś tutaj z Warszawy... Czy nie byłby pan łaskaw zaprowadzić mnie do pana Krzesiaka... Pragnąłbym z nim koniecznie pomówić osobiście...

— Owszem, Cypryan spodziewa się przyjazdu księcia... Mówił mi o tem i prosił, żeby mu natychmiast dać znać do szpitala... On zresztą może dziś jeszcze a najpóźniej jutro wstanie... Jeżeli księciu zależy na czasie, możemy udać się zaraz do niego.

Za chwilę dorożka powiozła Czerskiego w towarzystwie Szeleskiego na ulicę Kopernika.

Książę wszedł na salę szpitalną.

Na jednem łóżku poruszył się chory i usiadł. Tam padł wzrok Czerskiego, który w tę stronę skierował kroki, zanim mu towarzysz wskazał, gdzie leży Cypryan.

Przyjaźnie i ze współczuciem wyciągnął książę rękę do Krzesiaka, na którym ta wizyta, jakkolwiek oczekiwana, wywarła wrażenie silne.

Tak często w myślach młodego malarza stawała w groźnej, niemal okrutnej postawie, ta postać o surowej twarzy, demonicznem spojrzeniu. Każdy szczegół w niej wbił się w pamięć artysty, że nie dziw, iż na obrazie figura fantastyczna, mająca przypominać księcia Czerskiego — stała się wiernym portretem, tak podobnym, jak gdyby książę do tego obrazu umyślnie pozował malarzowi.

Na jego widok stanęły przed oczyma duszy Cypryana widma dni rozkosznych i dni rozpaczy.

Przypomniały mu się chwile marzeń i rojeń, kiedy w Warszawie bywał codzień w pałacu w Alejach Ujazdowskich i mógł do woli patrzeć w Laurę; a potem, owe noce, kiedy z ulicy widywał ją niekiedy na balkonie; później czasy, kiedy przez Bronkę posyłał do niej listy i odbierał na nie odpowiedzi upragnione...

I przypomniała mu się chwila ciężka, kiedy naraz stracił sposobność widywania Laury i korespondowania z nią, a musiał opuścić co rychlej Warszawę, poczem ani razu nie ujrzał już ukochanej... Aż spotkał się z nią w tak rozpaczliwych okolicznościach...

On ją przecież niby ocalił... Cóż, kiedy ratunek jego nie na wiele się zdał...

Biedna Laura popadła znowu w straszną moc Kosiary, a Cyprian nawet nie mógł objaśnić jej ojca, dokąd z powrotem łotr porwał mu córkę.

Kiedy go nieprzytomnego wieziono do szpitala, Krzesiak stracił najlepszy czas do ścigania zbója, który mógł już był nawet wywieźć ją z Krakowa.

Wprawdzie Cyprian odzyskawszy przytomność w szpitalu, niezwłocznie poprosił lekarza o wysła-

nie depeszy do księcia Czerskiego do Warszawy, ale czyż ojciec pomoże cokolwiek w tej sprawie, skoro naraz ślad z powrotem zaginął i nie wiadomo, gdzie i jak szukać Laury...

Czerski usiadł przy łóżku Krzesiaka na pozór spokojny, lubo w tej chwili we wnętrzu tego człowieka wrzało piekło..

Cypryan zdał mu szczegółowo sprawę z owej nocy, kiedy widział się z Laurą.

Opowiedział bez osłonek, w jak opłakanym stanie spotkał księżniczkę. Powtórzył mu wszystko, cokolwiek wiedział o smutnych przygodach porwanej dziewczyny, o jej ucieczce wśród nocy z nieznajomego domu za miastem — i wreszcie o napadzie Kosiary pod pocztą w chwili, gdy wysławszy pierwszą depeszę do księcia, wyobrażali sobie oboje, iż nic już nie stanie na przeszkodzie do szczęśliwego powrotu Laury pod dach ojcowski do Warszawy..

Ledwie zamilkł Krzesiak, zjawił się właśnie lekarz na sali szpitalnej i zbliżył się do łóżka Cypryana. Książę na chwilę usunął się, a kiedy powrócił, lekarz oświadczył, że Krzesiak może już nazajutrz opuścić szpital.

Przed odejściem Czerskiego ułożył się z nim Cypryan jeszcze co do godziny spotkania w dniu następnym.

— Daj Boże, bym mógł księciu okazać się pomocnym — rzekł na pożegnanie malarz — ale boję się, czy Kosiara natychmiast w ciągu nocy, najbliższym pociągiem nie opuścił Krakowa z panną Laurą..

Nazajutrz był Krzesiak jeszcze jak z krzyża zdjęty i chodził z trudem.

O umówionej godzinie wszakże zjawił się w hotelu u księcia.

Przyjął go Czerski poważnie, lecz z uprzedzającą grzecznością, postępując z nim od chwili pierwszego spotkania w szpitalu zupełnie tak, jak gdyby puścił wszystko w niepamięć, cokolwiek zaszło między nimi.

Pokazał mu Czerski zaraz na wstępie dziennik ze swem ogłoszeniem o wysokiej nagrodzie, jaką przyrzekał wypłacić każdemu, kto by mu dał znać o miejscu pobytu córki.

— Liczę na to, że przecież tym sposobem znacznie sprawę utrudnię owemu łotrowi.

Wsiedli do dwukonnej dorożki i pojechali z miasta za rogatkę Mogilską.

Na podstawie opowiadań Laury, wnioskował Cypryan, że mniej więcej rozpozna miejsce, w którem ją więziono przed jej ucieczką.

Nie była to rzecz łatwa.

Nawet pewności nie mieli, czy dom ów znajdował się właśnie przy tym gościńcu — tak niejasne były, z łatwo zrozumiałych powodów, wskazówki, jakie dała pokrótce Laura Krzesiakowi.

Naraz kazał Cypryan woźnicy przystanąć. Zostawiając księcia w powozie, wysiadł sam i zaczął rozglądać się, poczem wszedł na podwórko jakiegoś domu.

Pies zaszczekał i w drzwiach ukazała się staruszka siwa.

— Czyj to dom?

— Mój... a dlaczegóż pan się o to pyta...

— Nie, nic, to tylko pomyłka...

Co powiedziawszy, oddalił się Krzesiak, przekonał się bowiem, że to nie był dom, który mu opisywała Laura.

Na gościńcu przytrzymał jakiegoś żyda i wdał się z nim w rozmowę. Ten go zapewnił, że zna wszystkie domy w tych stronach.

— W takim razie może mi pan wskaże dom, w którym mieszka samotna kobieta, właścicielka jego, nie najmłodsza, ale jeszcze nie stara...

Żyd myślał długo, ale nie mógł dać pod tym względem informacyi.

Jeździli godzinę, to tu, to ówdzie, napróżno. Cypryan nie mógł zoryentować się w żadnem miejscu stosownie do opowiadania Laury i wreszcie kazał dorożkarzowi jechać za rogatkę Rakowicką.

I tu sprawa nie szła lepiej, przeciwnie, wydawało się tu Krzesiakowi, iż szuka mylnie, ponieważ musiało to być właśnie przy gościńcu do Mogiły...

Dość, że z niczem wrócili do miasta.

Policya na życzenie księcia, odebrawszy od niego fotografię córki oraz dokładny rysopis Kosiary, prowadziła na swoją rękę dochodzenia.

Tymczasem Krzesiak i Czerski szukali i wietrzyli na swój sposób.

Wszystko jednak było bezskuteczne.

Na dworcu kolejowym zmieniali się co kilka godzin osobiście, przechadzając się po peronie w chwili odjazdu każdego pociągu.

Parę razy zdarzyło się, że Czerski lub Krzesiak już za jakimiś podróżnymi wpadali do wagonu trzeciej klasy, gdy im się przywidziała sylweta bądź zbója Kosiary, bądź też nieszczęsnej Laury.

Za każdym razem jednak przekonywali się, że Cypryan miał jeszcze największą słuszność, twierdząc, iż Kosiara zapewne uciekł z Laurą pierwszym pociągiem, jaki miał odejść po wyrwaniu jej z rąk Krzesiaka.



— Ależ to jest wierny mój portret — szepnął do siebie książę — co to ma znaczyć. — I zaczął przypatrywać się bliżej obrazowi, chcąc jego treść odgadnąć. — A to ona... tak, nie mylę się, to ma być Laura!

Nakoniec policya dała znać księciu, że człowiek podobny do Kosiary — według podanego im rysopisu — a pochodzący z Warszawy, przychodzi często do jakiegoś szynku na Stradomiu.

W towarzystwie tedy ajenta policyjnego udał się tam książę z Cypryanem, obaj odziani w jakieś garnitury pożyczone przez Szeleskiego od kolegów, zanadto bowiem eleganckie mieli na sobie ubrania, by módz bez zwracania na siebie uwagi wchodzić do trzeciorzędnej szynkowni, goszczącej zazwyczaj ludzi niemal w łachmanach.

Siedzieli godzinę, dwie godziny w kącie szynkowni, ale w kalejdoskopie figur różnych, jakie się przez ten czas przesuwały przez ten lokal, żadna nie zwróciła uwagi obserwujących.

Książę dusił się już skutkiem wyziewów okropnych, jakie napełniały izbę, ale znosił wszystko cierpliwie, nie tracąc nadziei odzyskania córki.

Był on tam najbardziej potrzebnym.

On jeden bowiem mógł najłatwiej poznać Kosiarę, którego Krzesiak widział tylko raz w życiu, wówczas w mrokach nocnych pod gmachem poczty głównej, gdy zbój wyrwał mu niemal z rąk księżniczkę; ajent zaś miał pojęcie o wyglądzie łotra jedynie na podstawie rysopisu, podanego przez Czerskiego.

Kiedy im już cierpliwości nie starczyło, wdał się ajent policyjny w rozmowę z gospodarzami lokalu.

Wcale niepocieszające były wiadomości, jakie przyniósł on wreszcie do stolika, gdzie na niego czekał książę z Krzesiakiem.

Otóż według wszelkiego prawdopodobieństwa, człowiek, który mógł być Kosiarą, a który zachodził do owej szynkowni co kilka godzin, był tam ostatni raz wczorajszego dnia wieczorem i odtąd nie powrócił.

Siedział on przy piwie z jakimś młodszym od niego towarzyszem, podejrzanego wyglądu i opowiadał mu o osobliwościach życia Warszawy. Szczegółom jego opowiadania przysłuchiwało się z zajęciem jeszcze kilka osób przy sąsiednich stolikach.

Wtem wbiegła do szynku pewna dziewczyna (znana gospodarzom ulicznica), szepnęła coś pośpiesznie owemu domniemanemu Kosiarze, a wtedy ten cisnął swemu towarzyszowi kilka szóstek na stół, krzyknął „zapłać"! — i wybiegł, jak szalony na ulicę za dziewczyną. Zaraz potem zniknął z szynku i młodszy jego towarzysz.

Krótka ta scena zwróciła uwagę wszystkich w szynku obecnych, ale nikt nie wiedział, o co poszło.

Od tego czasu nikt z tych trojga ludzi nie pokazał się w piwiarni.

Ajent wiedział, kto jest ową dziewczyną, która dnia poprzedniego odwołała tak nagle z szynku domniemanego Kosiarę. Zaproponował tedy Czerskiemu i Krzesiakowi, żeby mu towarzyszyli, a zaraz dowiedzą się czegoś więcej w swojej sprawie.

Zgodzono się bez wahania.

W kilka minut później znaleźli się w zaułku, gdzie ajent zatrzymał się przed bramą jednego domu.

— Panowie poczekają na mnie chwileczkę tutaj...

Wszedł on sam do sieni, ale za minutę powrócił.

— Mogą panowie wejść ze mną do środka, proszę...

I weszli do owej nory, w której niedawno przed świtem uwięził Kosiara Laurę, a skąd jej właśnie udało się uciec wraz z gospodynią.

Wewnątrz zastali dwie dziewczyny, zajęte gotowaniem kawy. Przeraziły się one wizytą ajenta policyjnego, którego znały obie. Jednocześnie zaś zdumiały się na widok dwóch obcych panów, wchodzących z wielką powagą do ich mieszkania.

— Gdzież jest gosposia — spytał ajent żartobliwie — same sobie gotujecie kawę...

— Albo ja wiem, gdzie stara... Cóż to, ja za nią chodzę — odparła prawie opryskliwie jedna z dziewcząt.

— No, no, bądź ty trochę grzeczniejsza, nie zapominaj, że my mamy ze sobą jeszcze pewne rachunki... Ja cię mam zanotowaną dobrze... Gadaj mi zaraz, gdzie stara..

Wtedy zbliżyła się do ajenta druga dziewczyna, mówiąc:

— My naprawdę nie wiemy, gdzie się stara podziała...

Poczem nachyliwszy się do ucha ajenta, szepnęła:

— Panie, czy ten stary, to jaki sędzia śledczy, czy komisarz policyi?

Ajent potakująco kiwnął głową, a wówczas dziewczyna zbladła i mówiła głośniej:

— Ja panu powiem, jak to było... Jeden przyjaciel starej, on nie tutejszy, tylko z Warszawy czasem przyjeżdża... to on starej przywiózł jakąś panienkę bardzo młodą, śliczne dziecko...

Książę zatrząsł się na całem ciele, że nie uszło to uwagi obecnych. Sięgnął do kieszeni i wyjmując fotografię, podsunął przed oczy mówiącej.

— Czy tak wyglądała?

— Ta sama, jak Bozię kocham, ta samiusieńka — krzyknęła ona, towarzyszka jej zaś poskoczyła bliżej, wciskając między nich głowę z ciekawością. (C. d. n)



Fot. dla „Now. Illustr.“ M. Todt w Przemyślu.
Dzień urodzin Franciszka Józefa I.: Uroczystości wojskowe w Przemyślu w dniu urodzin cesarskich: przed katedrą ksiądz biskup kropi wodą święconą kompanię honorową.

Dzień urodzin Franciszka Józefa I.

W poprzednim numerze zamieściliśmy parę zdjęć fotograficznych z mszy polowej na Błoniach w Krakowie z powodu rocznicy urodzin Franciszka Józefa I.

Dziś dajemy jeszcze kilka fotografij z uroczystości wojskowych dnia tego w Przemyślu.

W Przemyślu niepogoda nie pozwoliła w tym roku na wielką paradę wojskową na placu ćwiczeń „Wilcza“. To też uroczystość odbyła się tylko w kościołach z udziałem wojskowości, o ile ta mogła się tam pomieścić. U wejścia do świątyń stanęły orkiestry do mszy przygrywające oraz kompanie honorowe oddające salwy. Ksiądz biskup grecko-katolicki, który osobiście w katedrze ruskiej odprawił mszę cesarską, zaprosił po nabożeństwie 150 oficerów garnizonu przemyskiego na obiad do swego pałacu.

Minister-żołnierz.

Dnia 21 sierpnia, to jest w ubiegły poniedziałek, zmarł w Ischlu pod Wiedniem były minister wojny generał baron Edmund von Krieghammer, którego portret zamieszczamy obok.

Była to osobistość równie ciekawa, jak znienawidzona przez wojskowych i przez wszystkie narody, zamieszkujące Austryę. Na nienawiść tę zasłużył sobie baron Krieghammer w czasie zajmowania stanowiska ministra wojny, na które dostał się jedynie dzięki wszechmocnej protekcyi. Protekcya wogóle odegrała w życiu tego ograniczonego człowieka decydującą rolę, ona to wysunęła go na urząd tak ważny i odpowiedzialny, jak urząd ministra wojny.

Generał Krieghammer urodził się w roku 1832; uczestniczył w wojnie z Włochami w 1859 i z Prusami w 1866. Był on oficerem kawaleryi starej szkoły. To wystarcza, aby scharakteryzować poziom i zakres jego umysłowości. I gdyby nie traf szczęśliwy, że cesarz wybrał go sobie na oficera ordynansowego i zamianowawszy go w roku 1869 majorem, stale go odtąd protegował; ten brutalny, złośliwy, niewykształcony i mało inteligentny oficerek, zakończyłby był swoją karyerę wojskową najprędzej służbą w gwardyi łuczników ze złotemi bortami wicewachmistrza. Dzięki wszechmocnej protekcyi, Krieghammer został jednak baronem, generałem, dywizyonerem, komendantem korpusu, a nawet ministrem. Nominacya jego w dniu 23 go września 1893 na ministra wojny była dla wszystkich niespodzianką. Nie rozumiano, jak łaska monarsza mogła powierzyć losy armii człowiekowi ograniczonemu i słabego charakteru, człowiekowi, słynącemu z namiętności do hazardu i z ciągłych długów, co nawet stwierdzono w stenograficznym protokóle. Zaczęto też wkrótce sarkać na niego, ale to się nie na wiele przydało. Na stanowisku ministra wojny Krieghammer utrzymał się był przez całych lat dziewięć, choć nie powinien był na niem pozostawać nawet dziewięciu tygodni. Fachowcy twierdzą, że on zdezorganizował armię. Nie rozumiał się na niczem i nie był zdolny niczego się nauczyć. Brakowało mu inteligencyi i pilności. Jego stosunek z delegacyami przybrał formy jak najgorsze. Szerokim warstwom ludności obrzydził armię swym nietaktem, który najdosadniej uzewnętrznił się w słynnym zatargu o „Zde“. Od roku 1898 błaha kwestya meldowania rezerwistów wzrosła do rozmiarów pierwszorzędnej kwestyi państwowej, wzburzyła oba parlamenty, podrażniła ludność, zniechęciła wszystkie narody słowiańskie do armii austryackiej, a to wyłącznie skutkiem bezmyślnego uporu von Krieghammera, który jako minister czerpał wzory z okresu policyjno reakcyjnego w latach 1849 do 1859, z czasów, kiedy był podporucznikiem, porucznikiem i rotmistrzem.

Trzeba jeszcze dodać, że on był na dworze wiedeńskim najcięższą zaporą, o którą rozbijały się wszystkie starania celem odzyskania Wawelu. On się najwięcej sprzeciwiał oddaniu wawelskiego wzgórza na własność narodowi.

Śmierć jego nastąpiła niespodziewanie. Baron Krieghammer był zapalonym myśliwym pomimo wielkiej otyłości ciała i padł ofiarą tego sportu. Tydzień przed śmiercią uczestniczył w polowaniu dworskiem w Ischl i skutkiem upadku z konia uległ potłuczeniom tak poważnym, że po krótkich cierpieniach rozstał się z życiem.



Fot. dla „Now. Illustrowanych“ M. Todt w Przemyślu.
Dzień urodzin Franciszka Józefa I.: Uroczystości wojskowe w Przemyślu z powodu urodzin cesarskich: oficerowie wychodzą z katedry po nabożeństwie.



Fot. dla „Now. Illustr.“ Michał Todt w Przemyślu.
Dzień urodzin Franciszka Józefa I.: Uroczystości wojskowe w Przemyślu z powodu urodzin cesarskich: kompania honorowa z muzyką przed kościołem, w chwili, gdy ma dać salwę.



Minister-żołnierz: Śp. generał Edmund v. Krieghammer, były minister wojny w Austryi największy przeciwnik oddania Wawelu na własność narodowi, a wogóle niepopularny w państwie naczelnik wojskowości.

Wrzenie w Finlandyi.

W ostatnim czasie opinia publiczna zajmuje się żywo ruchem w Finlandyi. Niejednokrotnie illustrowaliśmy wybitniejsze wypadki tamtejsze. Dziś jeszcze zamieszczamy kilka rycin, które stanowią echa pamiętnych dni Sweaborga. W oświetleniu urzędowem bunty wojskowe na terytoryum Finlandyi przedstawiają się w następujący sposób:

Oto w ciągu tygodnia odbywały się niemal bez przerwy w Helsingforsie mityngi rosyjskich rewolucyonistów i finlandzkiej czerwonej gwardyi (grupę tej milicyi socyalistycznej podaliśmy niedawno, dziś zamieszczamy portrety jej przywódców). Współudział w tych mityngach brali, jak utrzymuje „Praw. Wiestnik“, podlegli agitacyi rewolucyjnej szeregowcy sweaborskiego garnizonu fortecznego. Niezależnie od mityngów, odbywały się jednocześnie sesye rosyjskiego komitetu rewolucyjnego wespół z przywódcami czerwonej gwardyi.

Kiedy w fortecy sweaborskiej wybuchły nocą rozruchy w kompanii minierskiej, rozbroił ją zaraz rano sweaborski forteczny pułk piechoty i aresztował ją dowódzca twierdzy. Następnie zbuntowała się artylerya forteczna, która zawładnąwszy czterema wyspami, strzelała z kartaczownic w kierunku wysp Komendanckiej i Obozowej, gdzie przebywał komendant, dowodzący posiłkami nadesłanemi z Helsingforsu.



Wrzenie w Finlandyi: Na jednem z przedmieść Helsingforsu gromadka członków „Białej gwardyi“ oczekuje spotkania na ulicy z „Czerwoną gwardyą“.

Przez dwa dni bez przerwy toczyły się bitwy między wojskiem wiernem przysiędze, a buntownikami, którzy na pewien czas zdołali przerwać komunikacyę wszelką między fortecą a Helsingforsem.

Przez ten czas, jak przyznają sprawozdania urzędowe, zasiadał komitet rewolucyjny w Helsingforsie i stamtąd ogłaszał wezwania. Stamtąd też otrzymywali buntownicy zorganizowaną przez czerwoną gwardyę pomoc w żywności i ludziach. Kiedy buntownicy wysadzili ogniem z dział główny skład prochu, podpłynęła pod Sweaborg eskadra, która zaczęła bombardować zajęte przez buntowników wyspy, dopóki nie odebrano ich przy współudziale wiernych pułków piechoty. Bunt w fortecy udało się wreszcie stłumić po trzech dniach, a wówczas między aresztowanymi natrafiano co chwila na członków czerwonej gwardyi.

Ruch czerwonej gwardyi jeszcze po uśmierzeniu buntów wojskowych w Finlandyi i uspokojeniu zupełnem Sweaborga, trwał wszędzie w dniach następnych, a objawiał się szczególniej psuciem linij telegraficznych i psuciem torów kolejowych w różnych stronach kraju.

Groźnem chwilowo okazało się starcie z wojskiem rezerwowem na jednem z przedmieść Helsingforsu.

Wogóle udało się wojskom zapobiedz ruchom czerwonych gwardzistów, ale jednocześnie z woj-



Wrzenie w Finlandyi: Echa pamiętnego buntu wojskowego w Sweaborgu: epizod z walk krwawych między buntownikami a wojskiem wiernem przysiędze, u brzegów wyspy Komendanckiej.

skiem i policyą stawała po miastach przeciw czerwonym — druga milicya: biała gwardya. Na jednej z naszych rycin, widać właśnie w bocznej ulicy przedmieścia w Helsingforsie gromadkę członków białej gwardyi, która czeka na spotkanie z czerwonymi.

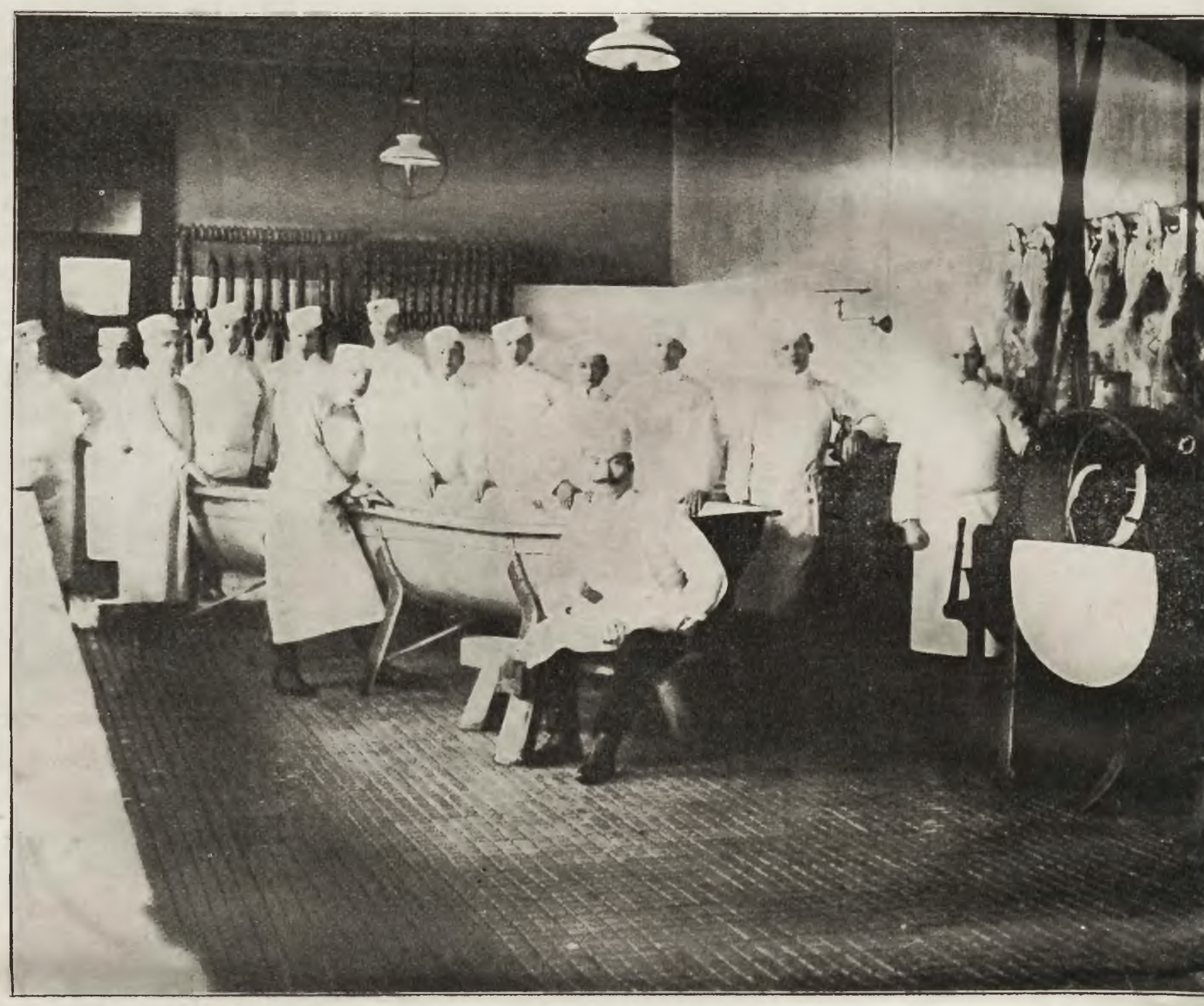


Odznaczenie krakowskiego przemysłowca: Józef Bialik, radny miejski, starszy cechu masarzy i właściciel znanej firmy masarskiej w Krakowie, odznaczony świeżo za swe wyroby złotym medalem na wystawie w Antwerpii.

Odznaczenie krakowskiego przemysłowca.

Przemysł galicyjski, aczkolwiek jeszcze słabo rozwinięty i dopiero w fazie powstawania się znajdujący, zyskuje sobie jednak coraz większe uznanie poza granicami naszego kraju. Uznanie to jest skutkiem znakomitej jakości wytwarzanych u nas towarów, czem się nie może poszczycić zagranica, bo wiadomo powszechnie, że wyroby zagraniczne są wprawdzie tanie, ale też za to są co do jakości marne. Wyroby galicyjskie cechuje zawsze doborowa jakość i czystość wykonania, te zalety zdobywają im też za granicą coraz szerszy rynek zbytu. Naturalnie niema tu mowy o wielkim przemyśle, żelaznym lub innych, które za granicą stoją u szczytu rozwoju, ale w pewnych gałęziach przemysłu, naprzykład w masarstwie, wzięliśmy górę nad cudzoziemcami, a to jedynie dzięki sumienności i energii poszczególnych przemysłowców galicyjskich.

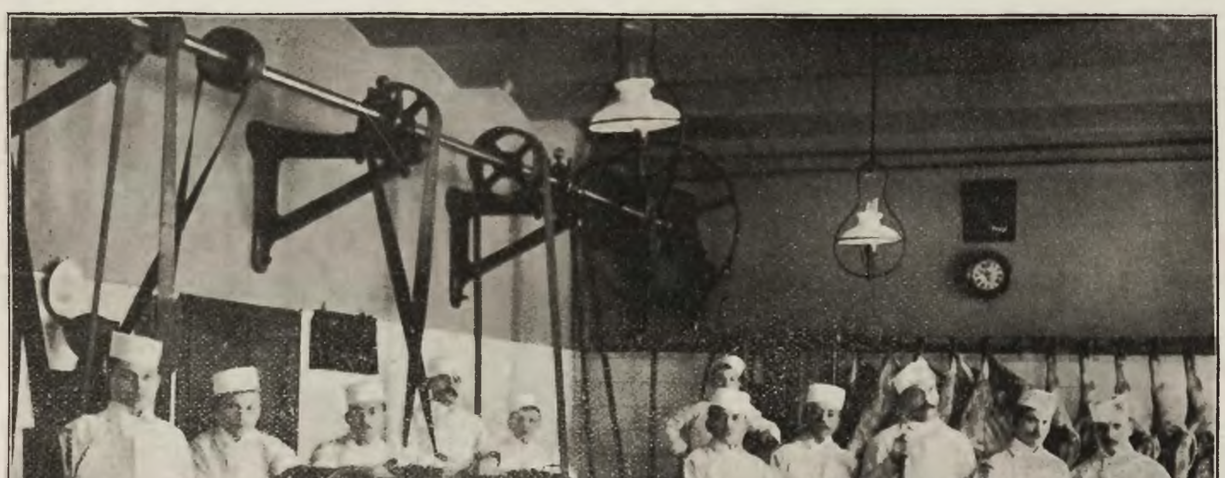
Do tych jednostek, które wzięły sobie za zadanie podniesienie naszego krajowego wytwórstwa i dzisiaj cieszą się już olbrzymim zbytem i uznaniem zagranicy, należy p. Józef Bialik, krakowianin, właściciel znanej firmy wyrobów masarskich, założonej w Krakowie przed dwudziestu laty. Pracownia firmy, tak co do technicznego jak i hygienicznego urządzenia, może iść śmiało w porównanie z największemi i wzorowo urządzonemi zakładami zagranicznemi. Pracuje w niej stale 70 ludzi, pod osobistym kierunkiem p. Bialika, który w kwestyach masarskich jest znakomitym fachowcem. Podnieść to należy tembardziej, że p. Bialik kształcił się w swym zawodzie w Krakowie i tylko własnym sprytem, zdolnościami i energią doprowadził swoją firmę do rozkwitu. Z początkiem bieżącego roku zwiedziła zakład p. Bialika komisya, złożona z grona lekarzy z drem Bierem, inspektorem i chemikiem miejskim na czele i na podstawie własnych badań uznała, że zakład prowadzony jest pod każdym względem znakomicie, że przewyższa o wiele podobne zakłady zagraniczne.



Odznaczenie krakowskiego przemysłowca: Wnętrze zakładu masarskiego p. Józefa Bialika; dział wyrobu kiełbas.

Firma p. Bialika, znana ze swoich znakomitych kiełbas, tak zwanych krakowskich, ma z Krakowa największy eksport na Wiedeń, gdzie posiada kilku zastępców. Ale eksport jej sięga znacznie dalej. Cała Dalmacya, wogóle całe wybrzeże nadadryatyckie sprowadza wędliny od p. Bialika. Tak samo Polacy, osiedli za granicą Austro-Węgier, ba, nawet Ameryka, sprowadza wędliny od tej krakowskiej firmy. Nic dziwnego, że wyroby p. Bialika zyskały ogólne uznanie, czego najlepszym dowodem jest fakt, że p. Bialik oprócz mnóstwa listów pochwalnych, otrzymanych na wystawach w Rzymie, Paryżu, Wiedniu i Pradze, odznaczony został kilkoma złotymi medalami, między innemi na wystawie w Wiedniu w roku 1899. W bieżącym roku otrzymał p Bialik medal złoty w Antwerpii. Świadczy to bardzo pochlebnie o zakładzie p. Bialika, bo medalem belgijskim mało firm w Austryi poszczycić się może. Z tej też okazyi zamieszczamy niniejszy artykuł oraz fotografię p. Bialika, wraz z dwiema illustracyami, przedstawiającemi wnętrze jego zakładu masarskiego z pracownikami.

P. Józef Bialik jest od szeregu lat radnym miejskim, biorącym żywy udział w pracy dla dobra miasta. Jako starszy cechu masarzy założył dla czeladzi bibliotekę, składającą się z wyborowych dzieł literackich i fachowych. Jako człowiek jest bardzo uczynny; opiekuje się wdowami po rzeźnikach i podupadłymi rzeźnikami, udzielając im zasiłków ze szczupłych funduszów cechowych.



Odznaczenie krakowskiego przemysłowca: Wnętrze zakładu masarskiego p. Józefa Bialika wraz z pracownikami.

Pożar Syzrania.

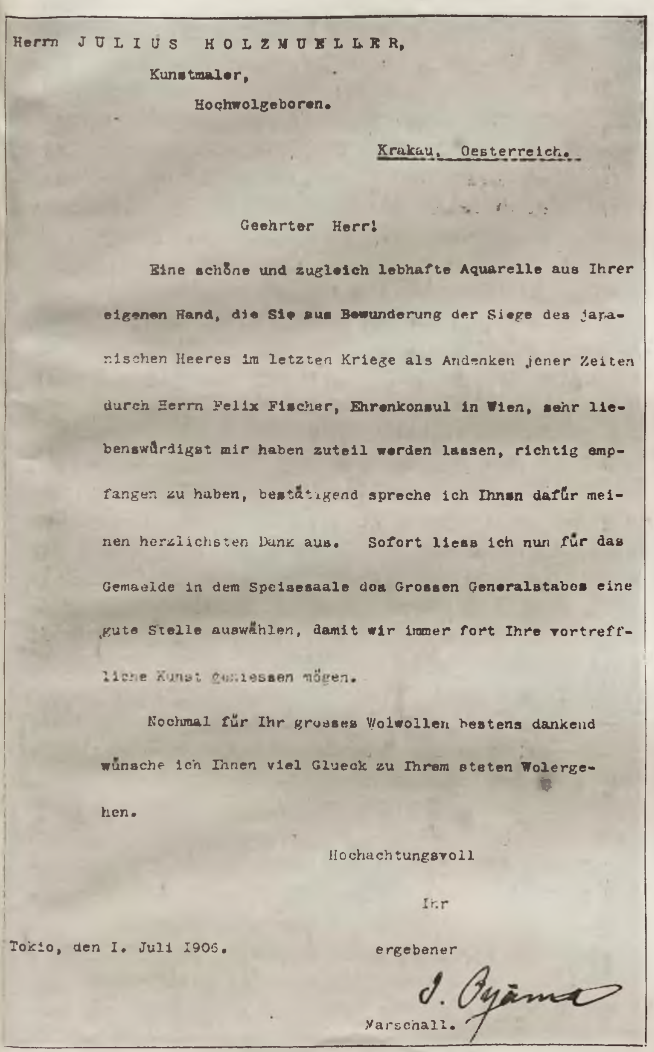
Wypadki związane z Dumą państwową w Rosyi, przysłoniły straszną katastrofę, której ofiarą padł niedawno Syzrań, miasto powiatowe w gubernii symbirskiej, liczące z górą 30 tysięcy mieszkańców i bijące żywem tętnem życia przemysłowego.

Dziś miasto to nie istnieje. Strawił je ogień, wzniecony zbrodniczą ręką.

Pożar powstał w samo południe i wskutek sil-

nego wiatru rozszerzał się z niesłychaną gwałtownością. O ratunku nie mogło więc być mowy. Drewniane domy bowiem, wysuszone na słońcu, płonęły jak zapałki.

Przed wieczorem, już koło godziny szóstej,



Herrn JULIUS HOLZMUELLER,
Kunstmaler,
Hochwolgeboren.

Krakau, Oesterreich.

Geehrter Herr!

Eine schöne und zugleich lebhafte Aquarelle aus Ihrer eigenen Hand, die Sie aus Bewunderung der Siege des japanischen Heeres im letzten Kriege als Andenken jener Zeiten durch Herrn Felix Fischer, Ehrenkonsul in Wien, sehr liebenswürdigst mir haben zuteil werden lassen, richtig empfangen zu haben, bestätigend spreche ich Ihnen dafür meinen herzlichsten Dank aus. Sofort liess ich nun für das Gemaelde in dem Speisesaale des Grossen Generalstabes eine gute Stelle auswählen, damit wir immer fort Ihre vortreffliche Kunst geniessen mögen.

Nochmal für Ihr grosses Wolwollen bestens dankend wünsche ich Ihnen viel Glueck zu Ihrem steten Wolergehen.

Hochachtungsvoll
Ihr
ergebener
J. Oyama
Marschall.

Tokio, den I. Juli 1906.

List marszałka Oyamy do krakowskiego malarza: List, przesłany przez marszałka Oyamę artyście malarzowi krakowskiemu p. Juliuszowi Holzmüllerowi z podziękowaniem, za ofiarowanie mu obrazu, przedstawiającego atak kawaleryi japońskiej. Tłomaczenie tego listu podajemy w artykule.

miasto przedstawiało tylko olbrzymi zwał rumowisk. Prawie nic nie ocalało. Według sprawozdań dzienników rosyjskich, obraz pogorzeli jest wprost straszny. Przez kilka dni ulice całe dymiły się dogasającemi głowniami domostw, pod których gruzami postradało nietylko całe swe mienie, ale i życie mnóstwo mieszkańców Syzrania.

Trupów zwęglonych wydobyto ze zgliszcz przeszło siedmset, a nie jest to bynajmniej pełna lista ofiar.

Do wszystkich przeżywanych przez mieszkańców okropności, dołączyły się jeszcze masowe grabieże. W całej okolicy rozszerzyły się w sposób przerażający choroby, zwłaszcza wśród dzieci pozbawionych dachu pogorzelców. Łatwo domyśleć się, co tam za nędza panuje. Wypadki pomieszania zmysłów są na porządku dziennym.

Pomoc dla nieszczęśliwych ofiar katastrofy jest minimalna w stosunku do istotnej potrzeby. Po mieście krążą ciągle całe bandy chuliganów, które grabią wszystko, czego tylko nie zdążył strawić groźny żywioł. W celu ukrócenia tych bezprawi, ogłoszono stan wojenny w powiecie syzrańskim.



Pożar Syzrania: Jedyna część Syzrania, gdzie cokolwiek ocalało z pożaru, który obrócił w perzynę całe to miasto powiatowe w gub. symbirskiej.

Co ocalało z całego miasta najlepiej, to jedna z ulic głównych, przy której stał Bank państwa — i właśnie miejsce to przedstawia nasza fotografia.

List marszałka Oyamy do krakowskiego malarza.

Młody artysta malarz krakowski, p. Juliusz Holzmüller, otrzymał w tych dniach od marszałka Oyamy, genialnego wodza japońskiego, list, którego fotograficzną reprodukcyę zamieszczamy obok. P. Holzmüller czytając opisy walk w wojnie rosyjsko-japońskiej, tych pełnych chwały zwycięstw Japończyków, taką powziął cześć, uwielbienie i podziw dla walecznych synów krainy wschodzącego słońca, że namalował pod wrażeniem bohaterskich epizodów, według opisów, wspaniały obraz, przedstawiający atak kawaleryi japońskiej i obraz ten poświęcił marszałkowi Oyamie, przesyłając go za pośrednictwem konsula japońskiego w Wiedniu do Tokio. W podzięce za to marszałek Oyama przesłał p. Holzmüllerowi list z własnoręcznym podpisem.

List, pisany w języku niemieckim, brzmi w tłómaczeniu polskiem jak następuje:

„Wielmożny Pan Juliusz Holzmüller,
artysta malarz, Kraków. Austrya.

Szanowny Panie!

Potwierdzając odbiór ślicznej i żywej akwareli, dzieła pańskiej ręki, któreś Pan, w podziwie dla zwycięstw armii japońskiej w czasie ostatniej wojny na pamiątkę tych czasów, przez pana Feliksa Fischera, konsula w Wiedniu, mnie najłaskawiej przysłać raczył, wyrażam za to Panu moje najserdeczniejsze podziękowanie. Kazałem natychmiast w sali jadalnej wielkiego sztabu generalnego wybrać dla tego obrazu dobre miejsce, abyśmy się mogli ciągle zachwycać pańskim znakomitym artyzmem.

Raz jeszcze za pańską wielką uprzejmość serdecznie dziękując, życzę Panu dużo szczęścia i powodzenia.

Z wysokiem poważaniem oddany Panu

Tokio 1 lipca 1906. *S. Oyama*, marszałek“.

List ten świadczy, że znakomity strategik, oprócz rzemiosła wojennego, zajmuje się również i sztuką i umie ją oceniać.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok fotograficzną kopię obrazu p. Holzmüllera, który dzisiaj zdobi jedną ze ścian w jadalnej sali wielkiego sztabu jeneralnego w Tokio. Trzeba przyznać, że obraz jest bardzo dobry; czuć w nim ideę, życie i rozmach, ten rozmach, z jakim synowie kraju czerwonych wiśni rzucali się na wroga, czuć w nim rękę prawdziwego, szczerego artysty.



List marszałka Oyamy do krakowskiego malarza: „Atak kawaleryi japońskiej“, obraz p. Juliusza Holzmüllera, młodego artysty malarza krakowskiego, przesłany marszałkowi Oyamie do Japonii i z jego rozkazu zawieszony w sali jadalnej wielkiego sztabu generalnego w Tokio.

Ajent policyjny.

Powieść na tle stosunków amerykańskich.

Przełożył z angielskiego Joter.

2 Ciąg dalszy.

Ale mimo to oczy jego, zazwyczaj tak jasne i czyste, zasnuły się mgłą przeraźliwej troski, tak, że twarz jego wydawała się o parę lat starszą.

Przyszedłszy do domu, powitał matkę wesołem „dobry wieczór“.

Ale oko matki nie da się zwieść pozorami.

Dotychczas tłumiła w sobie przemocą cisnące jej się do ust pytanie; dzisiaj jednak wesoły ton, jaki ją uderzył w przywitaniu syna, wydał jej się bardziej jeszcze wymuszonym, jak w dniach poprzednich, chociaż zauważyła to już od kilku tygodni. Miała jednak zawsze nadzieję, że ta zmiana, jaka najniespodziewaniej zaszła w jej synu, przejdzie sama przez się; spodziewała się, że może Henryk sam jej wyzna przyczynę tej zmiany, boć zrozumie chyba to nareszcie, że przed okiem matki ukryć jej nie zdoła.

— Henryku — zaczęła, siadając obok niego na sofie — co tobie, moje dziecko?

— Nic, mamo.

— Może nie jesteś zdrów?

— Ale gdzież tam! Najzupełniej.

— W takim razie musisz mieć jakiś wielki kłopot; coś cię dręczy, to widać.

— Ależ, mamo...

— Henryku, przedemną przecie nie powinieneś mieć żadnych tajemnic!

— Ja ich też niemam, mamusiu. Zdaje ci się tylko. Mamy chwilowo bardzo dużo do roboty, nic więc dziwnego, że jestem tak rozstrojony ze znużenia.

Pani Wilbert spojrzała na wyniosłą postać swego, męską pięknością pięknego syna, a w oczach jej zabłysł promień wątpliwości w możliwość tego tak nagłego znużenia.

— Henryku, mnie w błąd wprowadzić nie zdołasz. W ostatnich czasach obserwowałam cię bardzo skrupulatnie. Że masz jakieś kłopoty, o tem wiem napewne. Ale jakiekolwiek one są, nie powinieneś ich przedemną ukrywać. Miej przecie zaufanie do mnie, podziel się nimi ze mną!

— O, matko! — krzyknął naraz młody człowiek — nie mogę, nie mogę!

— A więc przyznajesz sam, że masz kłopoty!

— Chcesz o tem wiedzieć koniecznie, więc tak!

— Powiedz mi więc, co cię dręczy!

Pogładziła go po włosach i ucałowała w głowę, jak to czyniła niegdyś, kiedy go jeszcze na ręku nosiła.

— Musisz mi powiedzieć! — zawołała po chwili z naciskiem.

— Powiem ci więc prawdę, mamo! Jestem wystawiony na piekielne męki.

— To już od dawna widzę, moje dziecko. Mów więc dalej!

— Dowiedziałem się już dawno, że część personalu w naszym banku ma dostać dymisyę. Młodszy szef firmy nie lubi mnie. Ja mam pierwszy dostać wypowiedzenie.

Henryk Wilbert nie powiedział prawdy, ale matce wystarczało to już do zrozumienia troski, jaka jej syna gniotła. Była to wiadomość w każdym razie nie bardzo wesoła, bądź co bądź jednak nie była tak straszną, jak się tego pani Wilbert obawiała. Odetchnęła więc, jakby jej ciężar spadł z piersi. Na pięknej jej twarzy pojawił się uśmiech, kiedy wesołym głosem spytała:

— Więc to wszystko? I tem się tak smucisz?

— Tak jest, mamo!

— Zaiste, sprawa ta nie warta, aby się nią tak dręczyć.

— Ale cóż my poczniemy, mamo? Pensya moja wystarczała nam prawie na życie, odkładać nie mogliśmy przecie ani dolara.

— Wypełniałeś zawsze swój obowiązek, znajdziesz więc z łatwością nowe miejsce. Nie dręcz się więc, moje dziecko, rozjaśnij twarz i zacznij znowu żyć spokojnie i cicho, jak dawniej.

Mówiąc to, patrzyła mu błagalnie w oczy.

Dawniej sposób życia Henryka był nadzwyczajnie regularny. Wieczorem powracał zawsze wesoły i uśmiechnięty do domu, z którego już po największej części nigdzie nie wychodził, ale grał z matką w szachy lub czytał.

W ostatnich kilku tygodniach wszystko to się zmieniło.

Na drugi dzień, wychodząc do biura, Henryk powiedział matce, że wróci dopiero późno w nocy. Potem ucałował ją serdecznie na pożegnanie i wyszedł znacznie weselszy, jak zazwyczaj.

Biedna matka nie przeczuwała wcale, że syn jej miał w kieszeni nabity rewolwer i że zdecydował się już palnąć sobie w danej chwili w łeb.

Duszę jego dręczyła tajemnica, którą się z nikim podzielić nie chciał; przemocą usiłował ustroić twarz maską spokoju i wesołości, ale w sercu jego panowała burza.

Na najbliższym przystanku wsiadł do tramwaju konnego. Równocześnie z nim wsiadła jakaś młoda dama. Była ona zjawiskiem nadzwyczajnem. Prześliczne, jasne, siwe oczy tworzyły szczególniejszy kontrast z ciemnawą, południową cerą i kruczemi włosami. I mimo, że Wilbert cały był zajęty swemi niewesołemi myślami, nie mógł się jednak powstrzymać, aby na nią od czasu do czasu nie rzucić okiem.

Naraz opanowało go jakieś nieokreślone uczucie. Zdawało mu się, że tę twarz już gdzieś widział, jednakże mimo usilnej chęci nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Z drugiej strony było to zjawisko tak różne i odbijające od zwyczajnych, codziennych, że absolutnie, jeśli ją już kiedy widział, musiała mu się wryć w mózg.

Nie chciał się jednak dłużej już nią zajmować, kiedyś zauważył, że i ona go obserwuje.

Wysiadł przed gmachem, w którym się znajdował bank Mortona i Spółki. Wchodząc do kantoru obejrzał się jeszcze i zobaczył, że ta piękna kobieta również wysiadła i szła po drugiej stronie ulicy.

— Gdzie ja już te oczy widziałem?

Naraz dziwna jakaś myśl przebiegła mu przez mózg, bo twarz jego pokryła się trupią bladością, a z ust wydarł się szept trwogi i przerażenia:

— Rany boskie! Czyżby mnie ajenci policyjni pilnowali?!

I na samą myśl o takiej możliwości ręka jego instynktownie znalazła się w kieszeni, w której był ukryty nabity rewolwer.

Przeczucie nie zawiodło go.

Kobieta, która w tramwaju siedziała naprzeciw niego i razem z nim wysiadła, to była Marya Golling, tajna ajentka policyjna.

Każdy nerw drżał w nim, kiedy z utajoną trwogą starał się czytać w oczach i twarzach kolegów, lada minuta obawiając się odkrycia.

Życie jego było zaiste piekłem. Dzień w dzień pracował przy swoim biurku, dręczony wyrzutami sumienia, drżąc cały, ilekroć ktoś do niego przemówił, lub czegoś odeń zażądał. Czuł, że zachowanie jego musiało wpaść w oko właścicielom firmy i zdawało mu się, że oni czekają tylko sposobności, aby go napiętnować, jako złodzieja.

Rozdrażniony i podejrzliwy domyślił się odrazu, że ta piękna dziewczyna, która mu towarzyszyła aż do banku, jest ajentką policyjną. Wiedział przecie, że w Nowym Jorku istnieje oddział ajentek tajnej policyi, które w pewnych wypadkach dokonywały rzeczy nadzwyczajnych.

W ciągu dnia znalazł się Wilbert przypadkiem w jednym z oddziałów biura, przytykającym tuż do gabinetu Mortona. Do uszu jego, przez ustawiczną obawę niezwykle czułych, dobiegły słowa, które mu krew w żyłach zmroziły.

— Jakżeż stoi obecnie sprawa z Henrykiem Wilbertem? — pytał Grzegorz Robertson.

— Posuwa się swoją drogą — odpowiedział Morton.

— Boję się, czyś pan nie popełnił wielkiego głupstwa — ozwał się znowu Robertson.

— Jakto?

— Ptaszek nam czmychnie z rąk, zanim się doń weźmiemy.

— Nie sądzę. Przecież on nawet nie przeczuwa, że na nim ciąży podejrzenie, tem mniej zaś, że został już odkryty.

— Proszę pana, zdaje mi się, że on jest chytrzejszy i sprytniejszy, jak pan sądzi. Obserwowałem go bardzo uważnie. Przeczuwa on wiele więcej, niż nam się zdaje. Gdy już będzie zapóźno, przekona się pan, że ja miałem racyę.

— Sprawa ta, kochany Robertsonie, jest w dobrych rękach. Za kilka dni będziemy mieli dowody, a Henryk Wilbert znajdzie się pod kluczem. Samo podejrzenie niema dla nas wartości; musimy mieć w ręku dowody jego winy, zanim on znajdzie czas na przygotowanie sobie wykrętów. To utrudnia sprawę; dlaczego — wiesz pan o tem tak dobrze, jak ja.

Gdyby który z kolegów zwracał był uwagę na Henryka Wilberta, byłby się przestraszył, widząc go, wracającego do biurka. Wyglądał, jak istny upiór.

Za chwilę już był zdecydowany. Uspokoił się znowu i zabrał do roboty, jak gdyby nie ten dzień miał być ostatnim w jego życiu.

* * *

Po skończonej pracy, wychodząc z biura, powiedział kolegom, jak zwykle, „dobranoc“. Żaden też z nich nie przeczuwał nawet, jaki ciężki zamiar krył się na dnie duszy odchodzącego.

Wszedł do restauracyi, aby się czemś pokrzepić. Naprzeciw niego siedział jakiś młody mężczyzna, na pacholę prawie wyglądający.

Henryk zanadto był sam sobą zajęty, nie zauważył więc wcale, że obserwowało go starannie dwoje siwych oczu. Zdawało mu się, że potrafił schować w sobie wszystkie dręczące go myśli, ale te oczy, które na nim z takiem współczuciem spoczywały, musiały na jego zasępionem czole wyczytać jego straszne postanowienie. Może nie całkiem dokładnie, ale w każdym razie na tyle, iż młodzieniaszek postanowił widocznie roztoczyć nad nim nieustanną opiekę.

Po jakiejś godzinie, kiedy już się ściemniło, Henryk Wilbert wyszedł z restauracyi i udał się ku jednemu z niedaleko się znajdujących parków, gdzie z głębokiem westchnieniem rzucił się na ławkę. Był przekonany, że jest sam, ale tuż koło niego, ukryta w cieniu drzewa, leżała jakaś smukła postać, słuchając słów, wyrywających się od czasu do czasu jakby dla ulżenia znękanemu sercu, z ust Henryka.

— Boże mój, Boże! Jakąż męką jest dla mnie życie! — skarżył się biedak półgłosem. — A jakie męki czekają teraz moją matkę!...

Naraz głos jego nabrał jakiejś dziwnej siły i surowości:

— Ale raz jeszcze się odważę! Muszę spróbować szczęścia! Jak mi się nie uda, to potrafię umrzeć!

Podniósł się i wyszedł z parku.

Każde jego słowo odbijało się smutnem echem w sercu tej, która go pod maską młodego chłopaka podsłuchiwała.

Marya Golling nie była już tą samą, co przedtem, odkąd jej oczy po raz pierwszy spoczęły na Henryku Wilbercie. Jego piękna, męska postać wywarła na niej głębokie wrażenie.

Przez długi szereg ulic szła Marya za młodym człowiekiem, aż stanęła przy bramie osławionej jaskini gry. Henryk położył rękę na klamce, ale coś go wstrzymało. Odwrócił się i zobaczył przed sobą chłopaka, który pieściwym głosem rzekł do niego:

— Niech pan tam nie wchodzi!

Henryk i tak już rozdenerwowany, huknął nań ostro:

— Kto pan jesteś?!

— Nieznajomy wprawdzie, ale mimo to chciałbym pana odwieść od zamiaru wejścia do tej jaskini.

— Cóż pan wiesz o tym domu?

— Wszystko!

— Jednego jednak, jak się zdaje, pan nie wiesz, że niepotrzebnie wtrącasz się w cudze sprawy. Nie wtykajże nosa, gdzieś nie dał grosza!

— Nie miałem zamiaru pana obrazić.

— W takim razie dajże mi pan spokój!

— Więc panu powiem jeszcze tylko to: Pamiętaj pan o swojej matce!

To podrażniło Henryka jeszcze bardziej. W chwili beznadziejnej rezygnacyi, w jakiej się teraz znajdował, nie było mowy o tem, aby się mógł opanować, a wmieszanie się kogoś obcego w jego sprawy, oburzyło go. Podniósł rękę i uderzył chłopaka tak, że ten runął odrazu na ziemię.

Po chwili jednak zawstydził się sam siebie. Żal mu się zrobiło, że tak nieludzko postąpił, jego dobre serce na nowo wzięło górę. Pochylił się nad uderzonym, ale młodzieniaszek nie potrzebował jego pomocy i w tejże chwili sam zerwał się na nogi.

Potem Henryk odwrócił się znowu i bez żadnych przeszkód wszedł do jaskini gry.

Był zdecydowany raz jeszcze spróbować szczęścia. Gdyby mu i nadal nie sprzyjało, postanowił wybrać to ostatnie wyjście, które dla dusz zrozpaczonych i beznadziejnych wydaje się jedynem.

Tymczasem młody nieznajomy udał się do znajdującego się obok komisaryatu policyi i przebrał się w jednym z prywatnych gabinetów. Przebrał się szybko i ciekawie. Zdjął z głowy jasną perukę o blond włosach, a włożył kruczo czarną. Na wardze pod nosem ukazał się teraz piękny wąs. Ubranie zaś zmienił tak skrupulatnie, że młodzieniec, mający przedtem wygląd pacholęcia prawie, teraz wyglądał, jak elegancki dondżuan.

Wszystko to trwało kilka chwil zaledwie. Po-

tem elegant ten pospieszył z powrotem do jaskini gry, gdzie zadzwonił i został wpuszczony.

Jak cień stał on obok Henryka Wilberta, widział, jak ostatnie pieniądze rzucił na stół i jak opuścił salę.

Marya, bo ona to była w tej nowej masce, poszła za zrozpaczonym, który swe kroki skierował ku rzece.

Doszli właśnie teraz na brzeg. Ciemność panowała naokół. Henryk stanął i bezradny wpatrzył się w ponurą toń nocy. Potem podszedł na sam skraj muru nadbrzeżnego; spojrzał w głąb wody.

— Jeden skok — myślał — a wszystko skończone!

Szybkim krokiem podszedł ktoś ku niemu i chwycił go za ramię. Henryk krzyknął i spojrzał na człowieka, który go chciał wyrwać z rąk śmierci.

— Kimkolwiek jesteś — zawołał Henryk wściekły — jesteś zgubiony! Czemu mi nie chcesz dać zrobić tego, co ja zrobić muszę? Teraz ty mnie wyprzedzisz!

Na pół oszalały od wewnętrznej męki, chwycił nieznajomego i zaczął go pchać przed siebie.

— Henryku Wilbert, co chcesz zrobić!?

Na dźwięk swego nazwiska oprzytomniał na kilka chwil i puścił nieznajomego.

— Pan mnie zna?

— Znam.

— Któż pan jesteś?

— Choćbym panu nawet wymienił nazwisko, to i tak nie będziesz pan wiedział, kto ja jestem.

— A więc tak! — krzyknął Henryk, szalejąc na nowo. — Ajent policyjny! Rozumiem! Pan mi siedzisz na karku! Chcesz mnie pan ratować tylko dlatego, że mnie pan chcesz oddać w ręce policyi! Ale to się panu nie uda! Wpadłeś pan w szpony rozjuszonego dzikiego zwierza! Skoczymy do wody obydwaj razem! Mnie pan już nie wyrwiesz się z rąk! Nawet pod wodą, jeszcze będę pana trzymał. Módl się pan, jeśli się pan modlić możesz!

— Jedyna moja modlitwa jest do pana, Henryku Wilbert! Uspokójże się pan! Pomyśl pan, co pan mówisz!

— Mówię? Nie, ja to zrobię! Przecie ja pana nie prosiłem, abyś pan szedł za mną! Żadna żyjąca istota nie powinna się nigdy dowiedzieć, gdzie ja się podziałem. Po co pan tu przyszedł?

— Posłuchaj mnie pan, panie Wilbert! Pomyśl pan o swojej matce!

— No, teraz, to już musisz umrzeć!

I, nie zdolny do zapanowania nad sobą, Henryk chwycił nieznajomego w swe żelazne ramiona. Napół oszalały podszedł krok naprzód — i wszystko skończone!

— Łaski! — błagał nieznajomy.

— Musisz umrzeć ze mną! — syknął nieszczęśliwy.

— Zlituj się pan, ja jestem kobietą!

Henryk cofnął się znowu.

— Kobietą? — rzekł.

— Tak jest!

— Co panią tu sprowadziło?

— Chciałam pana powstrzymać od samobójstwa.

— Chciała mnie pani ratować?

— Tak jest!

— Jakiż pani ma w tem interes?

— Tego panu nie mogę powiedzieć, nawet choćby za cenę życia.

— Kobiety zabijać nie będę, bo to byłoby podle! A jednak — daruję pani życie tylko pod jednym warunkiem.

— A tym warunkiem?

— Mnie woła woda. — Niech mi pani przysięgnie na te świętości, w jakie pani wierzy, że pani nigdy nikomu nie wyjawi, gdzie ja się podziałem.

— Więc pan jest jeszcze zdecydowany umrzeć?

— Jestem! Chcę zniknąć bez śladu. To tylko jest przyczyną, dlaczego przeniosłem wodę nad rewolwer.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni rewolwer i rzucił go daleko w rzekę.

— Panie Wilbert — rzekła nieznajoma, kładąc mu rękę na ramieniu — pan niema powodu do samobójstwa — ja znam pańską tajemnicę.

— Pani zna — moją tajemnicę?

— Tak jest, znam.

— O czem pani myśli?

— O tej tajemnicy, która pana pcha w objęcia śmierci.

— Jeśli pani zna moją tajemnicę, to pani wie aż nazbyt dobrze, że dla mnie niema nic lepszego, jak śmierć, i że mnie pani wyratować nie może!

— A jednak mogę!

— Skąd i w jaki sposób poznała pani moją tajemnicę?

— Za kilka dni może to panu kiedy opowiem.

Gdyby był przeczuwał, że ona nie wiedziała o niczem, że jeno chciała zyskać na czasie, aby go we wszelki sposób zmusić do mówienia!

— Któż ty jesteś, kobieto? — zapytał znowu.



— Zlituj się pan! jestem kobietą!

— To rzecz obojętna. Niech panu to wystarczy, że chcę uratować pańskie życie i pański honor. Ale teraz bądźże pan mężczyzną i opuść pan ze mną to straszne miejsce!

W tej chwili usłyszeli zbliżające się kroki. Równocześnie ujrzeli naprzeciw siebie idących dwóch policyantów.

— Co panowie tu robicie o tej godzinie? — zapytał jeden.

— Idziemy właśnie do domu — odpowiedziała Marya Golling.

— Przedtem jednak prosiłbym jeszcze o wytłómaczenie, co panowie tutaj tak późno macie do roboty.

Henryk Wilbert nie mógł stłumić w sobie uczucia trwogi. Postanowił sobie unikać policyi raz na zawsze, był już tak blisko, aby uczynić ostatni krok, a teraz ta tajemnicza istota, stojąca obok niego, wprowadziła go w takie kłopotliwe położenie! Gdyby tak na dobitek policyanci odkryli, że pod maską młodego mężczyzny ukrywa się kobieta!

Podczas, gdy Wilbert namyślał się jeszcze, co ma zrobić, nieznajomy podszedł ku policyantom i szepnął im kilka słów, poczem obydwaj natychmiast się oddalili, nie zadając żadnych pytań więcej.

— No, teraz chodź pan ze mną — rzekł nieznajomy, a raczej nieznajoma.

Ciekawość Henryka była naprężona do najwyższego stopnia, postanowił więc iść za nią. Umysł jego, przedtem prawie oszołomiony, zaczynał się pod wpływem nadzwyczajności przygody jaka go spotkała, uspokajać.

Ajentka policyjna wykombinowała sobie śmiały plan, który postanowiła jeszcze tej nocy przeprowadzić.

W przebraniu, w jakiem się Marya teraz właśnie znajdowała, znaną była w pobliskim małym hotelu, do którego w swoich celach nieraz zaglądała, jako młody Francuz. Nikomu w tym hotelu na myśl nawet nigdy nie przyszło, że monsieur Durand był kobietą.

Ku temu hotelowi skierowała Marya swoje kroki. Henryk był zdecydowany czekać końca tej nadzwyczajnej przygody i szedł z nią w milczeniu, aż stanęli przed domem, który rozpoznał, jako gospodę wszystkich tych, co mniej lub więcej obawiali się światła dziennego.

Zbudziło się w nim złe przeczucie, ozwał się więc nieco zmienionym głosem:

— Jaki cel ma pani na oku, prowadząc mnie tutaj?

— Muszę z panem pomówić na osobności tak, aby nam nikt nie przeszkadzał.

— Czy pani wie, jaką ten dom ma opinię?

— Naturalnie. Służy on za schronienie tym, którzy chodzą nie po najrówniejszej drodze.

— I pani jako kobieta, nie boisz się tu wejść?

— Oh, teraz jestem przecie mężczyzną. Nie znam innego miejsca, gdziebyśmy o tej porze bez zwracania uwagi i bez przeszkody mogli ze sobą pomówić. Nie znam hotelu, gdzieby nas wpuszczono bez pakunków, nie zwróciwszy na nas uwagi. Tutaj każdy niepytany i bez żadnych trudności wchodzi lub wychodzi, o ile tylko zapłaci. Chodź pan ze mną spokojnie!

Marya Golling, jako ajentka policyi, spędziła w tym hotelu niejedną godzinę, zapuszczając sieci na zbrodniarzy, na których ślad wpadła, słuchając, badając i działając, a zawsze umiała sprawę tak zręcznie zadzierzgnąć, że w nikim nie obudziła nawet przeczucia, iż jest ajentką.

W towarzystwie Henryka Wilberta przeszła przez restauracyę, znajdującą się w suterenach, kłaniając się i witając z tym lub owym z obecnych.

Potem weszli na schody, na długi kurytarz a kelner zaprowadził ich do pokoju.

Trudne wypadki wymagają najtrudniejszych środków — myślała Marya Golling, kiedy z Henrykiem weszła do pokoju i poprosiła go, aby usiadł.

Zapaliła świecę, zamknęła drzwi i usiadła na krześle naprzeciw niego.

Patrząc nań bystro, rzekła krótko:

— Co pana dzisiaj pchnęło do samobójstwa?

— Przecież pani mówiła, że pani zna moją tajemnicę?

— I znam ją rzeczywiście.

— W takim razie wie pani, dlaczego chciałem sobie życie odebrać.

— Przecież pan jesteś niewinny, więc po co umierać?

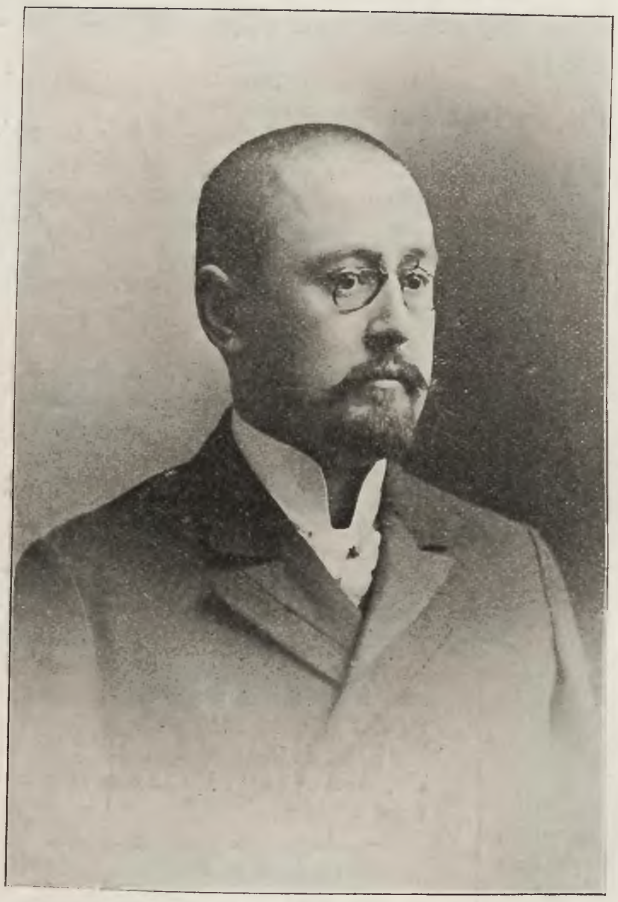
— Sądziłem, że pani zna moją tajemnicę — powtórzył.

— Znam ją — odparła.

— Więc pani musi przecie wiedzieć, że nie jestem niewinny — zawołał, wybuchając bólem. Nie mógł już milczeć dłużej, zdawało mu się, że się chyba udusi.

Marya przestraszyła się. Spojrzała nań wzrokiem pełnym boleści, a głos jej drżał, kiedy zawołała:

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fot. T. Bahrynowicz, Lwów.
Kurs dla dezynfektorów: Lekarz miejski we Lwowie, dr. Bolesław Kielanowski, który wykładał na kursie dla dezynfektorów.

Kurs dla dezynfektorów.

Z inicyatywy ruchliwego i energicznego fizyka miejskiego we Lwowie, dr. Wiktora Legeżyńskiego, urządzony został w tem mieście czwarty z rzędu kurs dla dezynfektorów. Trwał on przez cały ubiegły tydzień i zakończył się w sobotę publicznym egzaminem.

We wspomnianym kursie wzięło udział około 40 słuchaczów, którzy w tym celu przybyli do Lwowa z wielu, nawet odległych miejscowości kraju, bądź to na własną rękę, bądź też wysłani przez odnośne gminy.

Nauka na kursie składała się z teoretycznych wykładów o chorobach zakaźnych i o dezynfekcyi (w sali wykładowej prof. dra Becka na klinice) i z praktycznych ćwiczeń wykonywania dezynfekcyi (w miejskich barakach epidemicznych).

Wykłady, wygłoszone przez fizyka dra Legeżyńskiego i lekarza miejskiego dra Bolesława Kielanowskiego, obejmowały naukę o zarazkach chorobowych, jako o istocie chorób zakaźnych, dalej o bakteryach, o sposobach szerzenia się chorób zakaźnych między ludźmi i zwierzętami, o sposobach, w jakich zaraża się człowiek zdrowy, nadto omawiano szczegółowo niektóre choroby zakaźne, jak: cholera, gruźlica, dyfterya, tyfus brzuszny i plamisty. Wykłady te były przeplatane wielu demonstracyami. Demonstracye te, wykonane w oczach słuchaczów, utkwiły im głęboko w pamięci i ułatwiły im znakomicie zrozumienie istoty chorób zakaźnych.

Na ćwiczeniach praktycznych, pod kierunkiem dra Kielanowskiego, nauczyli się dezynfektorzy w odpowiednio umeblowanych izbach, odkażać mieszkania ludzi zamożnych, jak również mieszkania biednej ludności, przyczem uwzględniano przedewszystkiem sposoby najprostsze, najtańsze a niezawodnie pewne.

Egzamin publiczny, odbyty w sali ratuszowej, wykazał, iż uczestnicy kursu obznajomili się dokładnie z wykonywaniem wszelkich sposobów odkażania, że przeto cel kursu został w zupełności osiągniętym.

Zbyteczne chyba dodawać, jak bardzo użyteczne są tego rodzaju kursy, zwłaszcza w naszym kraju, gdzie hygiena tak nisko stoi. To też uznanie i wdzięczność należy się ich inicyatorowi fizykowi Lwowa, dr. Legeżyńskiemu, oraz dr Kielanowskiemu, który nie mało był pomocnym przy urządzeniu tych kursów. Na wszystkich kursach, urządzonych we Lwowie w latach od 1903—1906 wykształcono razem 473 osób.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy uczestników kursu dezynfekcyjnego z dr. Kielanowskim w pośrodku, oraz portrety fizyka dra Legeżyńskiego i lekarza dra Kielanowskiego.

Nowi ministrowie w Rosyi.

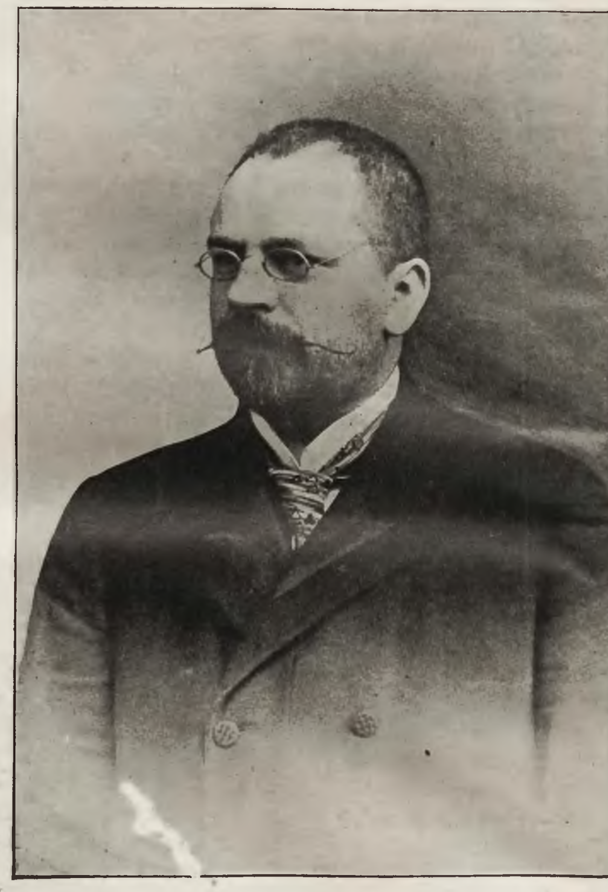
Nominacya kilku nowych członków gabinetu Stołypina nie uczyniła ani w państwie rosyjskiem ani też za granicą żadnego prawie wrażenia.

Pisma stwierdzają tylko fakt, że gabinet jest teraz w całości utworzony i składa się wyłącznie z ludzi ze sfery urzędniczej.

Dla zagranicy nazwiska ks. Wasilczykowa, Fiłozofowa i Izwolskiego nie mówią nic. Pisma niemieckie nazywają ich kandydatami partyi dworskiej. Korespondent petersburski jednego z poważnych dzienników berlińskich oświadcza, że sumienie nowych ministrów jest wobec społeczeństwa czyste i że dawniej hołdowali o. liberalizmowi. Czy osoby, którym brak wszel go doświadczenia, powiada korespondent — nie będą nową, narzuconą umyślnie Stołypinowi przeszkodą w działaniu, trzeba odczekać. Bądź co bądź nowi ministrowie są ludźmi prawdziwie średniej miary, którzy dotąd niczem się nie wybili.

Niektóre dzienniki zaznaczają, że o tych nowych ludziach krążą wieści w Petersburgu, iż są ludźmi o kierunku umiarkowanym, przekonani jednak o potrzebie reform na podstawie konstytucyi.

Książę Borys Wasilczykow ma dopiero lat 43, urodził się bowiem w 1863. Ukończywszy wydział



Fot. T. Bahrynowicz, Lwów.
Kurs dla dezynfektorów: Fizyk miejski we Lwowie, dr. Wiktor Legeżyński, inicyator szeregu reform w urządzeniach zdrowotnych we Lwowie, oraz kursów dla dezynfektorów.



Fot. umyślnie dla „Now. Illustrowanych“ Marek Münz, Lwów.
Kurs dla dezynfektorów: Grupa uczestników czwartego kursu dla dezynfektorów, urządzonego we Lwowie, z inicyatywy fizykatu miejskiego; pośrodku siedzi kierownik kursu dr. Bolesław Kielanowski, lekarz miejski.

prawny, wstąpił na służbę w ministerstwie sprawiedliwości. Przez krótki czas pełnił czynności sędziego pokoju, ale niebawem powołany został na stanowisko marszałka szlachty w Nowogrodzie, na którem pozostawał przez lat 12. Następnie otrzymał posadę gubernatora w Pskowie. Kiedy w pięć lat później w r. 1903, rozpocząć się miał kierunek silnej ręki i rząd zamierzał reorganizacyę urzędów gubernatorskich, musiał ks. Wasilczykow oddać marszałkowstwo w inne ręce i przybył do Petersburga dla wzięcia udziału w obradach wyznaczonej w tym celu komisyi.

Czynności te reorganizacyjne przerwał wybuch wojny z Japonią. Wtedy księciu Wasilczykowowi powierzono główny zarząd zakładami Czerwonego Krzyża. Otrzymawszy szerokie plenipotencye, występował on na terenie walki.

Obecnie wszedł on w skład gabinetu Stołypina, a w ostatnich dniach pojawiały się w pismach pogłoski, że zachodzi możliwość, iż Wasilczykow stanie się następcą Stołypina.

Nowy minister handlu Dymitr syn Aleksandra Fiłozofow liczy lat 41. Jest wykształconym wielce. Ukończył aż dwa fakultety petersburskiego uniwersytetu: matematyczno-fizyczny oraz prawny. Od roku 1886, od chwili, kiedy wstąpił do służby w ministerstwie oświaty, zajmował on szereg różnych stanowisk, ale niezbyt wybitnych. Dopiero po dwunastu latach powierzono mu zarząd wydziału ekonomicznego, poczem w r. 1899 objął zastępstwo sekretarza stanu w departamencie handlu, nauk i przemysłu. Przed pięciu laty zostawszy rzeczywistym radcą stanu, odebrał nominacyę na pomocnika kontrolora państwa. Później hr. Witte mianował go kontrolorem państwa.

Nowomianowany wraz z tamtymi oberprokurator świątobliwego synodu Izwolski, jest bratem rodzonym obecnego ministra spraw wewnętrznych, a poprzednio sam był pomocnikiem ministra oświaty. Dawniej urzędował on przez dłuższy czas na Inflantach jako kurator tamtejszego okręgu naukowego.

Zamieszczamy dziś portrety ministra rolnictwa Wasilczykowa, ministra handlu Fiłozofowa, oberprokuratora synodu Izwolskiego, ministra oświaty Kaufmana i kontrolora państwa Schwanebacha.



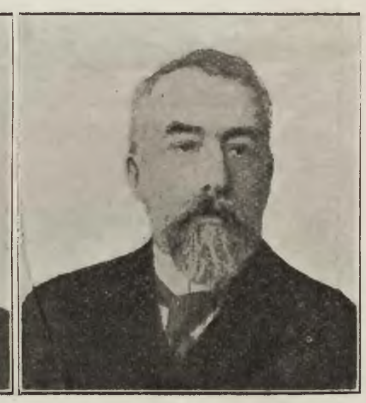
Fot. dla „Now. Illustr.“ Marek Münz we Lwowie.
Kurs dla dezynfektorów: Specyalny wóz dla dezynfekcyi w razie chorób zakaźnych, używany we Lwowie.


P. M. Kaufman


Ks. Wasylczykow


D. A. Fiłozofow


P. P. Izwolski


P. Ch. Schwanebach

Nowi ministrowie w Rosyi.

Znowu wielkie trzęsienie ziemi.

Jeden z najpiękniejszych i ręką przyrody najhojniej wyposażonych zakątków na ziemi, istna rajska dolina u podnóża niebosiężnych Andów w Ameryce, republika Chile nawiedzoną została przed kilkunastu dniami olbrzymiem trzęsieniem ziemi, które bez przesady porównać można z żywiołową katastrofą w San Francisko. Kwitnące, ruchliwe, handlowe miasto Valparaiso, rozłożone nad brzegami Oceanu Spokojnego, miasto, które co do piękności położenia możnaby porównać jedynie z Neapolem, uległo temu samemu losowi, jaki przed kilku miesiącami spotkał królową Oceanu, w przeciągu kilku godzin zamienione zostało na kupę gruzów, wśród których dymiące zgliszcza dopalały się powoli, jakby rzucając ostatniemi iskry świadectwo tej strasznej prawdzie, że wszystko na tym świecie jest znikome i krótkotrwałe.

Trzęsienie ziemi, którego ofiarą padło obecnie Valparaiso i kilkanaście znaczniejszych miast w Chile, między innemi Santiago, zaczęło się wieczorem około godziny ósmej. Zaczęło się na południowym brzegu Oceanu Spokojnego, przeszło Andy i dostało się na brzeg wschodni. Po pierwszem wstrząśnieniu wybuchnął w Valparaiso ogień na wielu miejscach równocześnie, a mieszkańców ogarnęła straszliwa panika. Największe szkody poniosła dzielnica handlowa; mieszkańcy rażeni odłamkami murów, padali pod gruzami własnych mieszkań. Zdawało się, że miasto chwieje się wprzód i w tył; nagle, po dwóch wstrząśnieniach przyszło trzecie tak gwałtowne, że domy waliły się rzędami, jakby popchnięte niewidzialną dłonią zniszczenie niosącego olbrzyma. Wśród huku walących się domów, wśród ognia płomieni, przerażona ludność


Pałac intendantury w Valparaiso, dziś w gruzach po katastrofie żywiołowej.


Dzielnica nadbrzeżna w Valparaiso z portem, dziś zniszczona trzęsieniem ziemi.

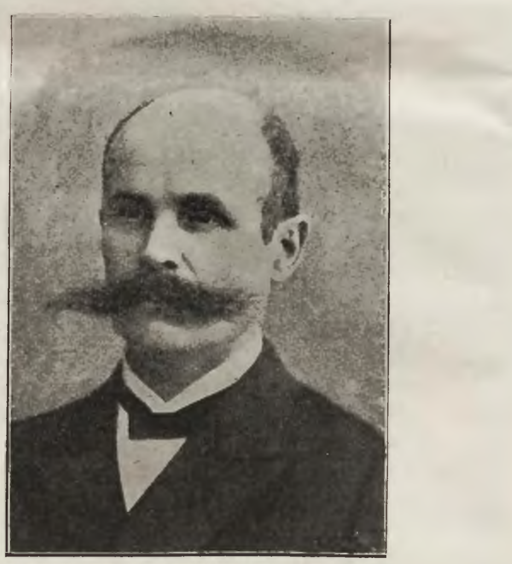
Znowu wielkie trzęsienie ziemi.



Znowu wielkie trzęsienie ziemi: Ogólny widok wielkiego miasta handlowego Valparaiso w republice amerykańskiej Chile, które zostało świeżo nawiedzone strasznem trzęsieniem ziemi, przy czem zginęło kilka tysięcy ludzi, a straty wyniosły 20 milj. f. szterlingów.

biegała po ulicach, ginąc i umierając pod ciężarem spadających belek, kamieni i murów.

Jak zwykle w takich wypadkach, po kilku godzinach, w których z kwitnącego miasta zostały jeno ruiny, kiedy wzburzona ziemia przestała się miotać, zaczęły się na ulicach rozgrywać przerażające sceny. Niektórzy mieszkańcy potracili wśród tych kilku godzin całe mienie. Widać więc było na ulicach mężczyzn i kobiety, którzy z oczyma szeroko rozwartemi, jakby wpatrzeni w tajemnicze, sfinksowe oblicze Przeznaczenia, stali, jak skamieniali, nie mogąc ani nic mówić, ani nic działać; inni wyrywali sobie włosy z głowy, tarzali się w bólach po ziemi, zasłanej gruzami ich domostw; przeraźliwe krzyki rozpaczy, bezsilnej wściekłości, pokornych próśb rozlegały się echem po zgliszczach, cisnąc ku niebu przeraźliwą pieśń klątwy. A wśród



Wrzenie w Finlandyi: Naczelnik „czerwonej gwardyi“ generał Koch.

tych tłumów nieszczęsnych zjawiali się coraz częściej rabusie, którzy obławiając trupy, grzebali w rumowiskach, obłowiając się sytym zarobkiem.

Spokój nie trwał jednak długo. Bo oto na drugi dzień, kiedy mieszkańcy zaczęli odzyskiwać przytomność i myśleć o nowej pracy, nastąpiło ponowne, równie silne trzęsienie, które pochłonęło resztki, ocalałe w pierwszych godzinach katastrofy. I tak co dnia prawie, przez tydzień przeszło. dawały się odczuwać nowe trzęsienia, jakby chciały



Wrzenie w Finlandyi: Jeden z głównych przewódzców „czerwonej gwardyi“ Kaarlo Luoto.

dokończyć dzieła zniszczenia, jakby chciały Valparaiso zrównać z powierzchnią ziemi. Na ruinach miasta potworzyły się hordy rabusiów, którzy kończyli to, czego żywioły dokonać nie zdołały, obrabowując mieszkańców z ostatniego grosza, cudem nieraz ocalonego. Przychodziło przytem do scen okropnych. Gdy runął dom finansisty Monte, żona jego wybiegła na ulicę. Rabusie, czyhający przed domem, odcięli jej palce u rąk z pierścionkami i uszy z kolczykami. Konającą z upływu krwi przeniesiono na stojący w porcie okręt wojenny. Ostatnie trzęsienie dało się tam odczuć w ubiegłą sobotę. Gdy potem rozsadzono dynamitem gruzy jednego z domów, wydobyto z pod nich dwoje ludzi, którzy szczęśliwym trafem nie odnieśli żadnych obrażeń. Przebywali oni pod gruzami cztery dni.

Liczba zabitych wynosi kilka tysięcy ludzi. Blisko 100.000 ludzi pozostało bez dachu nad głową.

W mniejszym stopniu, ale również silne trzęsienie nawiedziło miasto Santiago, po Valparaiso największe miasto w Chile. I tam część miasta została zupełnie zniszczona. Straty materyalne, wyrządzone skutkiem trzęsienia ziemi w całej repu-



Ulica w Santiago w republice Chile w Ameryce, gdzie trzęsienie ziemi poczyniło wielkie spustoszenie.



Plac Broni w mieście Santiago, republice amerykańskiej Chile, nawiedzonej katastrofą trzęsienia ziemi.

Znowu wielkie trzęsienie ziemi.

blice Chili obliczają na dwadzieścia milionów funtów szterlingów.

Valparaiso stanowi jeden z najważniejszych punktów handlowych Ameryki południowej, połączony z Europą i wszystkimi jej portami wielu liniami parowców, zwożących i wywożących nieustannie płody przemysłu wszystkich części świata. Jako miasto nie odbiega ono od typu południowo amerykańskich emporyj. Domy, przeważnie jedno i dwupiętrowe, budowane z pamięcią o częstych trzęsieniach ziemi, są jednostajnie białe. Dawne, charakterystyczne budowle, nadające miastu typ starohiszpański i narodowo chilijski, musiały ustąpić przed banalnością międzynarodowego budownictwa, które ze sobą przynieśli kupcy europejscy. Ulice przecięte tramwajami elektrycznemi, w których jedyną osobliwością są konduktorki, w miejsce zwykłych konduktorów mężczyzn. Pospolitość ulic miejskich znajduje tam kontrast w egzotycznej roślinności, wśród której odróżniają się wspaniałe palmy, euhaliptusy, banany i bambusy. Z mnóstwa trawników, zasianych kwiatami, dobywały się odurzające wonie, a w oddali widać na błękitnem niebie śnieżysty szczyt Aconhagua, najwyższego wierzchołka Andów, jednej z najpotężniejszych gór w całej Ameryce.

Załączone w dzisiejszym numerze illustracye przedstawiają jedne ogólny widok zniszczonego obecnie Valparaiso, inne zaś widoki z Valparaiso i również znacznie zniszczonego miasta Santiago.

Zjazd monarchów czy kuzynów?

Minęły dwa lata od chwili spotkania się monarchów Niemiec i Anglii w Kielu. Od tego czasu niejednokrotnie pojawiały się pogłoski, że tak blisko z sobą spokrewnieni władcy mają zjechać się znowu, widocznie jednak zamiarowi temu ważne przyczyny stały na przeszkodzie. Jeżeli zaś obecnie monarcha angielski w podróży do Maryenbadu nie omieszkał w Kronbergu odwiedzić swego siostrzeńca, dźwigającego koronę zjednoczonych Niemiec, wnosić należy, iż wspomniane przeszkody już nie istnieją.

Jako charakterystyczną przygrywkę do zjazdu należy podnieść polemikę prasy niemieckiej z angielską co do charakteru zjazdu. Gdy najpoważniejsze organa angielskiej opinii publicznej z naciskiem przestrzegały przed nadawaniem zbytniej wagi politycznej spotkaniu monarchów, jako aktowi jedynie kurtoazyi naturalnej pomiędzy bliskimi krewnymi; pisma niemieckie z rozdrażnieniem replikują, że tak się rzecz niema, że przeciwnie na zjazd w Kronbergu zapatrywać się należy jako na doniosłe zdarzenie polityczne. W istocie też, choćby bezpośrednio nie był zjazd kronberski poświęcony polityce, fakt to niepośledniej wagi, już jako symptom, dowodzi bowiem, że stosunki pomiędzy Anglią a Niemcami, tak groźnie naprężone ostatniemi czasy, tyle nasuwające obaw pesymistom, polepszyły się znowu. Że jednak polepszyły się, to nie jest tajemnicą i nie od dzisiaj dopiero, ani od wczoraj istnieje owo polepszenie. Niebezpieczna naprawdę chwila, gdy przebąkiwano już o wojnie, byłaby jak przesilenie w chorobie, godziną przełomową w pożyciu obu mocarstw. Stąd coraz wyraźniej po jednej i po drugiej stronie ujawniać się poczyna dążność do porozumienia i przeświadczenie, że konkurencya dwóch tak postępowych przemysłów, jak angielski i niemiecki, jest rzeczą nieunikniona, tak samo jak rywalizacya polityczna Niemiec i Anglii; że jednak poza sferą sprzecznych interesów jest dużo jeszcze pól, na których obie potencye postępować mogą zgodnie, a nawet upatrywać w tej harmonii swój interes. Zmianę w usposobieniu Anglii musiało zresztą wywołać to poczucie pewności, jakiem do syta rozkoszować się obecnie może Wielka Brytania. Największe niebezpieczeństwo, jakie groziło jej dzierżawom zwłaszcza na terenie azyatyckim, zostało zażegnane. Rosya po wojnie japońskiej i od



Zjazd monarchów czy kuzynów: Spotkanie się w Kronbergu króla Edwarda angielskiego z cesarzem Wilhelmem niemieckim: na rycinie widoczni, licząc kolejno twarze od lewej ku prawej: 1) następca tronu greckiego; 2) hrabia von Hohenau; 3) następczyni tronu greckiego; 4) książę Fryderyk Karol heski; 5) żona poprzedniego; 6) Marya Jerzówna, żona ros. w. księcia Jerzego, a siostra następcy tronu greckiego; 7) Król Edward VII; 8) cesarz Wilhelm II.

chwili wybuchu wewnętrznej rewolucyi, nie może już dziś przejmować lękiem dawnej swej rywalki. Zresztą sojusz z Francyą zbliżył Anglię także ku Rosyi, a ubezpieczył ją od niebezpieczeństw izolowanego stanowiska na wypadek, gdyby przyszło do starcia z Niemcami. W takiem położeniu niema Anglia żadnych przyczyn, żeby z niepokojem spoglądać w stronę Niemiec. Pewna siebie, niema też potrzeby marnować sił na bezcelowe starcia i słusznie zapewne czyni, przekładając nad nie zgodę, do której ona przystępuje bezinteresownie w dobrej woli, a druga strona we własnym dobrze zrozumianym interesie.



Fot. dla „Now. Illustr.“ Michał Todt w Przemyślu.

Uroczystość kolejowa w Przemyślu: Ćwiczenia nowo zorganizowanej straży ochotniczej ogniowej w warsztatach kolejowych w Przemyślu, pod komendą fachowo wyćwiczonych werkmistrzów Nogi i Gyalokaja; do ćwiczeń przygrywa własna orkiestra kolejowa rzemieślników warsztatowych.

Zamach na prezesa ministrów Stołypina.

W niedzielę rozbiegła się po Europie, budząc niesłychaną sensacyę, wieść o zamachu na premiera gabinetu rosyjskiego w jego willi pod Petersburgiem. Stołypin wprawdzie ocalał niemal cudownym sposobem, ale dzieci jego okaleczały, a wybuch piekielnej maszyny, rzuconej, zdaje się, nawet przedwcześnie przez rewolucyonistów, pociągnął za sobą ogromną liczbę ofiar. Wśród trupów i rannych, których cyfrę określają około 100, oprócz policyantów, żandarmów i służby, znajdują się wysocy dygnitarze państwowi i wojskowi.

Oto garść luźnych szczegółów niezwykłego zdarzenia, według najwiarogodniejszych depesz.

Około godz. 4 popołudniu w sobotę, przed willę prezydenta ministrów Stołypina na wyspie Aptekarskiej, zajechał wynajęty powóz, zaprzężony w dwa rącze konie. W powozie siedziały cztery osoby, dwie z nich ubrane po cywilnemu, dwie zaś w mundurach wojskowych zagranicznych. Wszyscy razem weszli do pokoju portyera, przyczem jeden z wchodzących trzymał w ręce hełm, w którym prawdopodobnie był ukryty pocisk. Nagle przypadkowo w pokoju szwajcara pocisk wypadł na podłogę, poczem nastąpiła straszna eksplozya. Wskutek wybuchu zginął generał major Siemiatin, urzędnik do specyalnych poruczeń przy ministerstwie spraw wewnętrznych, a dworskiemu mistrzowi ceremonii, Weroninowi, wybuch urwał głowę.

Sam prezydent ministrów wyszedł bez szwanku. Za to ciężko ranne są jego dzieci. Pomiędzy rannymi znajduje się także jeden z redaktorów Petersburskiej Agencyi telegraficznej, Fürst, który podczas eksplozyi znajdował się w jednym z przyległych pokojów. Powóz, w którym przyjechali sprawcy zamachu, zgruchotany, a woźnica zginął; konie ocalały. Cała tylna część budynku zniszczona. Siła eksplozyi była tak wielka, że wyrwała z zawiasów drzwi, prowadzące do gabinetu przyjęć.

Według dalszych wiadomości, wyjaśniło się, że sprawcy zamachu zajechali przed willę w powozie w chwili, gdy lista gości była już zamknięta, służba więc nie chciała ich wpuścić do sali przyjęć. Przybyli chcieli siłą wedrzeć się do salonu, w którym goście oczekiwali na prezydenta ministrów. Podczas szamotania się ze służbą, jeden z przybyłych, mający na sobie mundur oficera żandarmeryi, upuścił bombę, poczem nastąpiła straszna eksplozya. Wybuch zniszczył przedpokój, pokój szwajcara, prowadzący do sali przyjęć, wejście na



Fot. dla „Now. Illustr.“ Michał Todt w Przemyślu.

Uroczystość kolejowa w Przemyślu: Nowo zorganizowana ochotnicza straż ogniowa w warsztatach kolejowych w Przemyślu; pośrodku radca cesarski Ludwik Bartelmus, od lat 10 naczelnik przemyskich warsztatów, wraz ze swym dotychczasowym zastępcą, starszym komisarzem Henrykiem Suchankiem, świeżo mianowanym naczelnikiem warsztatów w Nowym Sączu.



Zabójstwo generał-gubernatora wojennego w Warszawie: Generał-lejtnant Mikołaj Wonlarlarskij, czasowy gen.-gubernator wojenny Warszawy, zabity w poniedziałek na ulicy w dorożce. (Fot. J. Mieczkowski).

schody i balkon drugiego piętra. Prezydent ministrów, który znajdował się w swoim gabinecie przyjęć, nie odniósł żadnych ran. Córka i syn Stołypina, stojący w chwili wybuchu na balkonie, są ciężko ranni. Mianowicie córka ma głęboko rozwarte rany na obu nogach, syn zaś ranę w boku i naruszoną kość biodrową. Eksplozya dotknęła wiele osób, szczególnie z personalu służbowego, znajdującego się podówczas w przedpokoju. Liczba ofiar wynosi około 60 osób, z czego zabitych jest 27, a wśród nich minister Chwostow, generał-major Siemiatin, mistrz ceremonii Woronin, ks. Nakaszidże, kapitan żandarmeryi Fedorow i agent policyjny Kazancew, wreszcie szwajcar i wielu ze służby.

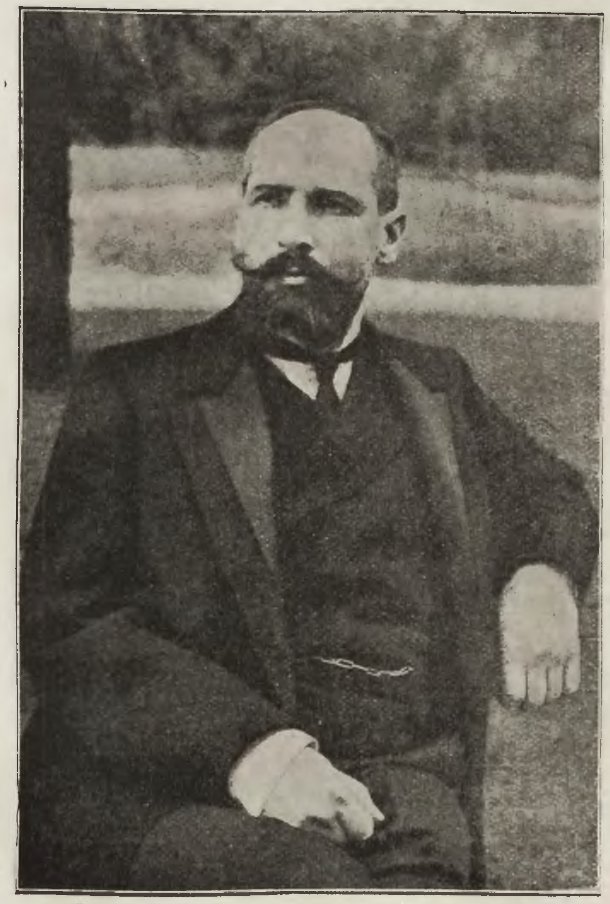
Wśród rannych znajduje się dwóch urzędników ministeryalnych i jeden oficer artyleryi.

Ze sprawców zamachu trzech zginęło, czwartego ujęto.

Dalsze śledztwo w sprawie wybuchu w willi Stołypina wykazało, że sprawcy przybyli do Petersburga z Moskwy koleją Mikołajewską i zajęli pokoje umeblowane przy ulicy Morskiej. Wieczorem dnia poprzedniego pojechali do opery letniej. Główny sprawca zamachu był dość silnym mężczyzną, około 25-letnim, w nowym mundurze oficerskim, pod którym znajdowała się brudna bielizna cywilna. W chwili wybuchu, Stołypin rozmawiał w swoim gabinecie z dwoma marszałkami, którzy twierdzą, że były dwie, a może nawet trzy eksplozye. Po wybuchu premier zatroszczył się przedewszystkiem o rodzinę i sam wydobył dzieci z pod gruzów. Przykryte one były kupą piasku i rumowiska; odstawiono je do szpitala. Zabici są zmiażdżeni strasznie, prawie nie do poznania.

Jak donoszą, przed kilkoma dniami chciał Stołypina ostrzedz przed zamachem uwolniony ze służby oficer Boborykin, nie został jednak przyjęty. Obecni podjęto przesłuchanie Boborykina.

Prezydent gabinetu Stołypin opowiedział pewnemu dygnitarzowi następujące szczegóły o zamachu: „Znajdowałem się właśnie w swoim gabinecie, gdy w sali przyjęć usłyszałem głośną rozmowę. Wśród głosów, które, jak wnosić mogłem,



Zamach na prezydenta ministrów Stołypina: Premier gabinetu rosyjskiego Stołypin, który wyszedł bez szwanku ze strasznego zamachu dynamitowego na jego osobę, przyczem jednak wśród kilkudziesięciu ofiar wybuchu bomby znajdują się ciężko ranne jego dzieci.

sprzeczały się o coś, rozróżniałem wyraźnie dobrze mi znany głos generała Zamiatina. Właśnie zamierzałem otworzyć drzwi, aby dowiedzieć się o przyczynie sporu, gdy rozległ się huk ogłusza-



Maturzyści-tułacze: Grono młodzieży, która wydalona za walkę o język polski ze szkół warszawskich, po kilkoletniej tułaczce otrzymała ostatecznie świadectwa dojrzałości w szkole „Zrzeszenia nauczycieli". W pośrodku dyrektor szkoły p. Zdzisław Majewski. Fot. J. Golcz Warszawa.

jący. Pierwszą myślą moją było, co stało się z moją rodziną? Odurzony jednak hukiem i doznanem wstrząśnieniem, stałem przez chwilę bezczynnie. Dopiero widok spadającego balkonu i krzyk mo-



Dezercya z policyi warszawskiej: Piotr Grigorjewicz Kuźniecow, dotychczasowy p. o. komisarza policyi cyrkułu X Nowoświeckiego w Warszawie, który po ostatnich wypadkach podał się do dymisyi.

ich dzieci wyrwał mnie z tego odrętwienia. Sam najmniejszego nie odniosłem szwanku.

Kałamarz, który uderzył mnie z tyłu w głowę, nie zranił mnie. Wszystkie akta i papiery na biur ku ocalały. Później dowiedziałem się że generał Zamiatin dlatego zatrzymał dwóch spiskowców w mundurach żandarmów, ponieważ mieli oni na głowie czapki barankowe, jakich żandarmi nie noszą Wówczas to jeden z nich upuścił portfel, w którym znajdowała się bomba i spowodował tem wybuch. Jego ramię oderwane od tułowia, znaleziono następnie w znacznem oddaleniu w ogrodzie. Dziś już, dodał Stołypin, odzyskałem cały spokój i mogę oddawać się moim zadaniom“.

Według ostatnich wiadomości syn prezydenta gabinetu Stołypina rychło zapewne wyleczy się z ran odniesionych przy zamachu, natomiast stan córki jest jeszcze bardzo groźny i budzi wielkie obawy. Jest tak słabą, że nie można było przystąpić do amputacyi nóg.

Stwierdzono już, że rodzina Morozowych, mieszkająca przy ulicy Morskiej, w domu, przed którym sprawcy zamachu na Stołypina wsiedli do powozu, pochodziła z Riazania.

* * *

„Aptiekarskij Ostrow“ (Wyspa Aptekarska), gdzie odegrał się w sobotę straszliwy dramat zamachu, należy do cyklu wysp osiadłych w delcie Newy. Z wiosną zalewa je przybór wody, ale też tem wspanialej jaśnieją przepychem swych ogrodów w lecie. Tysiące drobnych *dacz* (wil) mieści się na tych wysepkach, każdy bowiem, kogo tylko stać na to, opuszcza w lecie duszną, skwarną stolicę, przenosząc się do letniska. Wieczorem przedstawiają wspomniane wysepki niesłychanie barwny i ożywiony obraz. *Tout le monde* petersburski, o ile nie frunął zagranicę, tu gromadzi się. Setkami ciągną przez korso arystokratyczne pojazdy, zdążając aż do Strjełki na zachodniej kończynie wysepki Jelagina, skąd rozpościera się prześliczny widok na morze finlandzkie.

Aptekarska wyspa leży w oddaleniu mniej więcej 1 i pół mili od Petersburga. Na wyspę prowad wspaniały most Troicki fundowany ku upamię tnieniu srebrnego wesela Aleksandra III z Mary Feodorówną i oddany do użytku przed trzema la ty. Na wyspie znajduje się ogród botaniczny, za łożony przez Piotra W. w r 1714 ku hodowli zió aptekarskich, skąd też pochodzi nazwa wyspy.



Dezercya z policyi warszawskiej: Konstanty Mikołajewicz Popow, dotychczasowy komisarz policyi cyrkułu X Nowoświeckiego w Warszawie, który po ostatnich wypadkach podał się do dymisyi.



Fot. dla „Now. Illustr.“ zakład „Bernardi“.

Sokoli warszawscy: Druh Bolesław Olszewski, nauczyciel gimnastyki i naczelnik gniazda II w Warszawie, w otoczeniu grona nauczycielskiego.



Warszawa w stanie wojennym: Patrol kozacki przed wyjazdem na ulice.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

21 (Ciąg dalszy).

Słowa te po pijacku bełkotane, zastanowiły pana Chocimskiego — na jego to bowiem folwarku, jak się Czytelnicy musieli już domyśleć, znalazł się teraz przypadkiem Wosinek, pędząc saniami na oślep.

— A widzisz, Magdusiu, że to on przecież jest stamtąd — perswadował mąż pani Chocimskiej — miałem racyę... To są nawet dworskie konie, tylko sanki wzięte ze wsi.. Czy nie daj Boże... jakie nieszczęście...

Na saniach znaleziono w sianie tobołek z rzeczami pani Edwardowej K.

To potwierdziło przypuszczenia gospodarza, iż Wosinek wiózł ją właśnie na ich folwark i po drodze po pijanemu wysypał w śnieg podróżną.

Więc pan Chocimski kazał natychmiast zaprzęgać do swoich sani postanowiwszy sam wybrać się na poszukiwanie Żona włożyła mu na sanie torbę z podręczną apteczką, przeczuwając coś złego.

Gdyby nie zamieć wielka, byłoby można jechać śladem sani Wosinka Tymczasem zadymka śnieżna trwała bez przerwy od szeregu godzin i nie ustawała ani na chwilę Wobec czego nigdzie nie dało się natrafić na ślady płozów i poszukiwania prowadzone przez pana Chocimskiego dla odnalezienia nieszczęśliwej dziedziczki, przedstawiały trudności niemal nie do przezwyciężenia.

. . . .

Ksiądz Jan nie spał.

Wyjątkowo tej nocy zachowywał się cicho, oddany modlitwie gorącej, namiętnej.

Zazwyczaj odmawiał pacierze głośno, nawet krzykliwie, albo też jakieś westchnienie pobożne powtarzał donośnie a monotonnie godzinami bez końca.

Tym razem wszelako zamknął się w sobie przedziwnie. Legł krzyżem zaraz o zmierzchu na środku pokoju i zatopił się w rozmyślaniach ascetycznych.

Mijały godziny, a ksiądz Jan w ciszy nocnej nie wstawał z podłogi i nie ustawał modlić się w milczeniu.

Przyszły na niego halucynacye.

Pod ich wpływem asceta zdrętwiał, wreszcie prawie omdlał...

Nagle oczy otwarł, oprzytomniawszy nieco i dźwignął się z podłogi z trudem.

Zimny pot kroplisty wystąpił na jego skronie, nogi chwiały się, a dreszcz wstrząsał całe ciało.

Za chwilę ksiądz Jan upadł wyczerpany na łóżko Leżał jednak krótko.

Ledwie bowiem tylko do uszu jego doleciały jakieś szmery i stłumione głosy rozmowy, zerwał się na równe nogi i będąc ciągle jeszcze pod wrażeniem halucynacyj, wybiegł z pokoju swego.

Zaraz za progiem przystanął i nadsłuchiwał uważnie.

Treści rozmowy nie zrozumiał.

Jeden z dwóch głosów jednak, które słyszał — wydał mu się nie obcym.

Natężył tedy słuch..

Właśnie siostra Felicya mówiła coś głośniej do faktora i ksiądz Jan, jakkolwiek nie mógł dokładnie słów rozróżnić. wsłuchał się w ten głos...

Powoli, jak gdyby krokiem miarowym, powrócił do swego pokoju, zbliżył się do stoliczka przy łóżku, sięgnął po książkę — a była to Ewangelia — wcisnął ją sobie na piersi za koszulę, poczem okrywszy się cieplej, rozejrzał się w koło.

Przez chwilę namyślał się, zastanawiał, wreszcie jeszcze jakiś płaszcz wziął z poręczy łóżka, wciągnął go na siebie i zapaliwszy świecę, wyszedł, niosąc ją uważnie w ręce, powolnym znowu, miarowym krokiem.

Zatrzymał się w kuchni.

Tu w kącie stało łóżko, na którem leżał tylko duży sienik, resztę pościeli zabrała sobie bowiem służba do obory gdzie obecnie sypiała.

Ksiądz schylił się i świecę podsunął pod słomę w sieniku na łóżku. W tej chwili buchnął płomyk, prześlizgnął się kilkakrotnie pod łóżkiem, polizał ścianę i zaraz strzelił w górę pod powałę słup ognia oślepiający.

Tymczasem waryat już przez ten czas na drugim końcu dużej izby kuchennej wyciągnąwszy z pod pieca największą głownię płonącą, rzucił się ku drzwiom na widok płomieni nad łóżkiem.

Zbiegł śpiesznie z ganku na dziedziniec i w narożniku domu przystanął Podniósł w górę płonącą głownię. podsunął ją pod sam dach, trzymał tak przez chwilę w miejscu, gdzie nie było śniegu. aż wreszcie zajęły się tam gniazda jaskółcze.

W jednej chwili ogień wcisnął się przez okienko na strych i objął całkowicie wiązania dachu.

Ale przez ten czas ksiądz Jan już zdążył dostać się na drugą stronę domu, gdzie wcisnął swą pochodnię pod ganek frontowy do komórki, w której były złożone wióry i trociny.

Ganek natychmiast stanął cały w płomieniach, które sięgały aż pod dach i z tej strony, a za chwilę zlały się w górze z ogniem buchającym od tyłu folwarku.

Od wielkiego gorąca śnieg tajał na dachu i zalewał ogień, który skwierczał i pryskał. Ale wicher szalejący bez przerwy podniecał płomienie z przerażającą szybkością.

Cały folwark stanął w ogniu w ciągu kilku minut, zwłaszcza, że paliło się jednocześnie wewnątrz i na zewnątrz. Pożar bowiem z kuchni rozszerzył się w mgnieniu oka po innych ubikacyach suchego domu drewnianego, przerzucając się z kąta w kąt i obejmując co łatwiej zapalne sprzęty.

Ksiądz Jan odskoczył w bok, przyjrzał się obrazowi pożaru i z pochodnią swoją jeszcze w ręce, pobiegł do ogrodu warzywnego za stodołę.

. . . .

Już folwark stał w płomieniach, kiedy w pokoju dziedziczki żyd przechadzając się wśrod rozmowy z siostrą Felicyą tam i z powrotem, zauważył nagle niezwykłe światło bijące w okna.

— Co to jest — krzyknął, rzucając się ku oknu — gdzie się pali...

Lecz zanim czołem dotknął szyby, tak się przeraził ogromnym blaskiem, który mu myśl podsunął, iż to właśnie w folwarku jest ogień, że z krzykiem odskoczył od okna i przewracając krzesła po drodze, przebiegł pokój. pchnął drzwi, szarpnął w panicznym strachu klamkę, a kiedy mimo to drzwi się nie otwierały, zaczął łomotać o nie, jak ptak w niespodziewanym zatrzasku.

— Na klucz zamknięte — zawołała tercyarka i na widok tracącego głowę Moszka, sama. jakkolwiek jeszcze nie wyobrażała sobie niebezpieczeństwa im grożącego, pobiegła otworzyć.

Zaledwie drzwi się uchyliły, z piersi ich obojga wydarł się okrzyk zgrozy i trwogi.

Niemal przed sobą, bo o kilka kroków od drzwi ujrzeli płomienie, od których dym gryzący buchnął naraz w ich stronę.

Felicya rzuciła się, jak stała, do ucieczki przez pokój jadalny, do którego ogień tylko zaglądał z przedpokoju od strony kuchni. Chciała wybiedz na ganek frontowy, lecz gdy zbliżyła się do drzwi szklanych, właśnie w płomieniach stanął balkon.

Cofnęła się w przerażeniu do pokoju, zajmowanego przez księdza Jana, lecz z progu po przez gęsty dym zobaczyła ogniste języki, wciskające się i tutaj drzwiami od sionki z kuchni.

Przez krótką chwilę stała w miejscu bezradna, poczem wbiegła z powrotem do pokoju dziedziczki, gdzie jeszcze pożar nie dostał się i najmniej było kłębów gryzącego dymu.

Tu już wybił szybę Moszko i szamotał się z zasuwą zamykającą okno, której w żaden sposób nie mógł otworzyć, przyczem z jękiem zawodził płaczliwym głosem po żydowsku.

Tymczasem zasuwy wszystkie dało się już podsuwać, a tylko okno nie chciało odskoczyć, przymarzłe do futryny.

Felicya poskoczyła do drugiego okna, trzęsła niem przez chwilę, a kiedy nie mogła sobie poradzić. porwała poduszkę z łóżka i nią chroniąc siebie od pokaleczenia szkłem, wydusiła wkrótce kruche ramy okienne.

Nareszcie uczuła się ocaloną.

Wyrzuciła przez okno na śnieg poduszkę, po niej drugą, wreszcie kołdrę z łóżka ściągniętą i pospiesznie wyskoczyła na dwór.

Moszko nie mogąc sobie w drugiem oknie poradzić, chociaż już się był do krwi szkłem pokaleczył, poszedł coprędzej w ślady tercyarki i znalazł się nareszcie także na dworze. (C. d. n)

Echa katastrofy na morzu.

Pamiętna katastrofa emigranckiego okrętu „Sirio“, który rozbił się na wodach hiszpańskich, przyczem zginęło trzystu podróżnych — nie przestaje do tej chwili obijać się echem żałobnem na łamach dzienników, które co trochę przynoszą garść nowych szczegółów nieszczęścia.



Echa katastrofy na morzu: Garstka rozbitków z parowca „Sirio“ na pokładzie francuskiego statku „Marie Louise“, wraz z jego kapitanem Colome, który ich ocalił.

Garstkę rozbitków udało się ocalić kapitanowi Colome, który zabrał ich gościnnie na swój statek francuski „Marie Louise“.

Właśnie rycina nasza przedstawia grupę uratowanych rozbitków na pokładzie statku, zdjętą po przybiciu okrętu do brzegu.

Zabójstwo generał-gubernatora wojennego w Warszawie.

(Do portretu na stronie 17).

W poniedziałek rano czasowy generał-gubernator wojenny m. Warszawy i gub. warszawskiej generał-lejtnant Mikołaj Wonlarlarskij wyszedł z domu swego przy ul. Wiejskiej i wsiadłszy do dorożki parokonnej udał się do kancelaryi komendantury warszawskiej na pl. Saskim. O godz. 1 gen. Wonlarlarskij powracał w tej samej dorożce do domu. Kiedy wjeżdżał z pl. św. Aleksandra na ul. Wiejską, jakiś mężczyzna, przyzwoicie ubrany, dał w kierunku dorożki trzy strzały z rewolweru, po których zbiegł. Kule przebiły skórę podniesionej budy dorożki i ugodziły generała W. w prawą łopatkę i w krzyż. Generał Wonlarlarskij miał jeszcze tyle siły, że wychylił się z dorożki i zawołał kilkakrotnie o pomoc. Kilku przechodniów pospieszyło z pomocą i odwiozło w tejże samej dorożce rannego generała do szpitala wojennego Ujazdowskiego, znajdującego się w pobliżu. W chwili, kiedy dorożka wjeżdżała do bramy szpitala, generał Wonlarlarskij życie zakończył.

Dezercya z policyi warszawskiej.

(Do illustracyj na stronie 18).

Wiadomo, jak na porządku dziennym są w Warszawie od dłuższego czasu systematyczne napady zbrojne na przedstawicieli policyi.

To też widząc, że tylu ich pada ciągle ofiarą zamachów, policyanci warszawscy opuszczają swoje stanowiska. Codzień raporty przynoszą po kilka nazwisk członków policyi, których na własne ich żądanie władze przełożone uwolniły od dalszego pełnienia obowiązków, tak niebezpiecznych w obecnych warunkach.

Po stójkowych, zwykłych szeregowcach, po rewirowych, zaczynają wreszcie podawać się do dymisyi nawet komisarze cyrkułowi, nie chcąc życia swego narażać.

* * *

Właśnie zamieszczamy dziś fotografie dwóch komisarzy z cyrkułu Nowoświeckiego, którzy po ostatnich wypadkach podali się o uwolnienie. Jeden z nich, to P. J. Kuźniecow, drugi K. M. Popow.

Szarady.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

I.

Między rzeką a zaimkiem
Wspak środkowej zwierzę siedzi,
By was nie zbyć ogólnikiem,
Dodam, że się w wodzie gnieździ.
Jak się zaś *całość* nazywa,
Zgadnij już sam, Czytelniku,
Celem życia ona bywa
Dla kogo? — Jest ich bez liku.

II.

Pierwsza-trzecia słowo, znane jest w muzyce,
Wspak drugie z pewnością odnajdziecie w rzece,
Całość o różnym kształcie i kolorze,
Spostrzedz można często przy damskim ubiorze.

Logogryf.

Ułożył Bojcio.

Ze zgłosek: a, a, an, ci, dy, ę, gród, ir, jos, ke, ko, len, lis, me no, pa, pi, po. rak, si, sol, styń, ta, ty, try, wa, ving, yan — ułożyć 10 wyrazów, których litery początkowe, czytane zgóry na dół, utworzą tytuł znakomitej powieści powieściopisarza polskiego, którego nazwisko utworzą litery ostatnie, w tymsamym kierunku czytane.

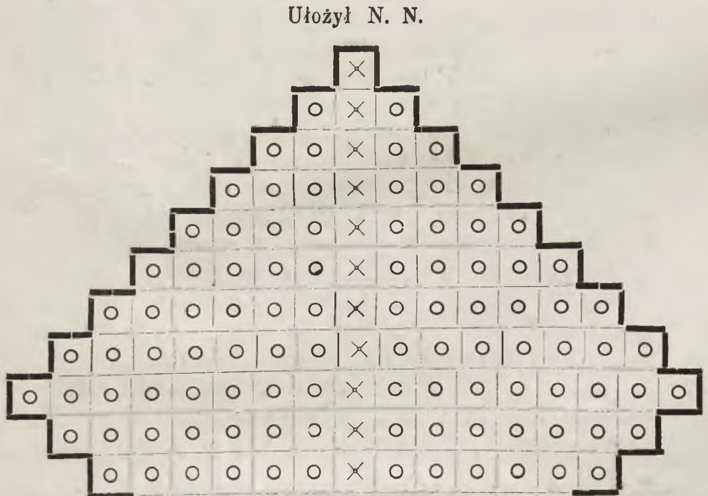
Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej Salzburg. 2. Imię męskie. 3. Nazwisko znakomitego, zmarłego w ubiegłym roku artysty dramatycznego angielskiego. 4. Dwie samogłoski. 5. Rzeka w południowej Ameryce. 6. Inaczej Amerykanie. 7 Miasto w Galicyi, położone o trzy mile od Kołomyi. 8. Miasto w Afryce. 9. Napój gorący. 10. Inaczej aktorzy, grający komedyę.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę wspaniały tort z piramidą z cukierni Piaseckiego w Krakowie.

Zagadki do nagrody.

Kryptogryf.

Ułożył N. N.

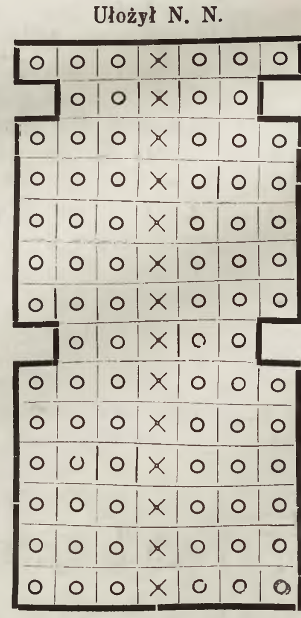


Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko bohatera polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Bicz na konie. 3. Gospodarz (góral). 4. Imię męskie. 5. Miasteczko w Galicyi. 6. Miesiąc, w którym już zaczyna się zimno. 7. Miasto w Galicyi. 8. Imię i przydomek króla polskiego. 9. ?. 10. Połowa północna Ameryki. 11. Dwie rzeki, jedna w Azyi, druga w Egipcie. 12. Pseudonim Kraszewskiego. 13. Miejsce, w którem ludzie tracą zdrowie i pieniądze. 14. Przymiotnik od słowa Lwów. 15. Królowa rzek polskich. 16. Łyżwy, używane w krajach północnych. 17. Samogłoska.

Zagadka.

Ułożył N. N.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły pewną maksymę często w Polsce powtarzaną.

Znaczenie wyrazów: Miasta w Galicyi.

Zagadka głoskowa.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Pierwsza zwiedza *Filipiny*,
Druga do *Nicei* płynie,
Trzecia zrywa liść *kaliny*,
Czwarta kryje się *w malinie*.
Z *karabelą* piąta chodzi,
Szósta leży już *w agonii*,
Siódma topi się *w powodzi*,
Gorzkie łzy znów ósma *roni*.
Proszę wziąć dwie naostatek,
Co się mieszczą w małej *chacie*,
A w nagrodę piękny kwiatek
Z tej szarady otrzymacie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 33.

Szarady.

I. Fasola. — II. Makary.

Łamigłówka.

Horacy, Wesele, Eunice, piorun, Kobryń, widłak, melasa, Dybicz, bierny, Anikin, kalina, Miriam, wieluń, drewno, Aładin, Liwiec, brzoza.

Henryk Sienkiewicz.

Zadanie arytmetyczne.

2	metry	á	4 złr.	=	8	złr.
5	„	á	3 „	=	15	„
2	„	á	1 „ 50 ct	=	3	„
68	„	á	0 „ 75 „	=	51	„
77	metrów				77	złr.

Logogryf.

marynar**z**, **A**nton**i**, **r**ys**ie**, **S**enega**l**, **Z**eno**n**, **a**r**a**, **ł**om... **K**olbuszow**a**, **O**lkus**z**, **w**rzek**o**m**o**, **S**tanisła**w**, **K**artuz**i** akcy... zuchwale**c**, **Ł**owczówe**k**, **O**paw**a**, **T**yro**l**, **A**utyl**e**, **b**ambu**s**, **R**awic**z**, **a**rszy**n**, **c**zoł**o**, **K**mici**c**, **a**lla**h**, **c**zase**m**, **h**etman... **Ł**owc**e**, **o**do**l**, **f**osfora**n**, **A**da**m**, **S**emeringe**n**, **w** cieni**u**, **A**... miens, **r**yd**z**, **n**arkoty**k**, **A**ppony**i**.

Marszałkowska, Złota, Bracka, Chłodna, Browarna, Zielna, Mazowiecka, Leszno, Chmielna, Moniuszki.

Kryptogryf.

Zapolska. — Jak tęcza.

Zagadka.

Mikołaj Rej z Nagłowic.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Arbesbauer Lwów, K. Fuchs Peczeniżyn, T. Domain Sanok, B. Ramułtowa Jeżów, M. Małaczyński Pikułowice, K. Bobek Zakopane, Z. Szymczakowska Zakopane, J. Kulczyńska Zakopane, M. Weimerowa Nowy Sącz, J. Jaroszkówna Przybysławice, J. Wodziczkówna Germakówka, J. Lipińska Okno, L. Rączkowski Kraków, St. Łaszkiewicz Dębica, J. Haładej Górki, M Świtlikowa Rzeszów, K. Pruchnicki Przemyśl W. Stanula Samocice, A. St. Bassara Niwiska, A. Dudyński Stanisławów, H. Mokrzycka Drohobycz, A. Surowiecki Kraków, Dr St. Warmski Turka, M. Rożański Gorlice, E. Bogdalska Koropuż, K. Jurkiewicz Tłumacz, K. Chodkiewicz Zbydniów, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Niepokój Krosno, Al. Bocsoń Bóbrka, St. Gajdeczka Sieniawa, M. Bartelmusowa Skałat.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał przez losowanie p. K. Pruchnicki w Przemyślu. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

OD REDAKCYI. W numerze 34, w spisie nazwisk Szan. Czytelników, którzy nadesłali dobre rozwiązania zagadek, pomieszczonych w numerze 32. z powodu nieuwagi korektora opuszczono nazwisko p. Franciszka Niepokoja z Krosna, który stale nadsyła rozwiązania, za co go niniejszem przepraszamy.